

W numerze: RYSZARD BINKOWSKI *Festyn dla 300 tysięcy* • WACŁAW PAWLAK *Rynek stary jak Łódź* • FELIKS BĄBOL *Hamulce postępu* • EUGENIUSZ IWANICKI *Anegdoty o przesławnym mieście Łasku* • Recenzje • Zawsząd o wszystkim • Nowela kryminalna

odgłosy



29 (765)
16. VII. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



FOTO: H. HERMANOWICZ

KAROL BADZIAK

U progu żniw

Żniwa — wielki zbiorowy wysiłek ludności wiejskiej. W tym roku akcja ta stanęła w centrum zainteresowania najwyższych władz partyjnych i państwowych. Do pewnego czasu żniwa opierały się na wysiłku fizycznym rolników, teraz jest to przede wszystkim kwestia sprawnej organizacji. Trafielem właśnie na taki gorączkowy okres przygotowaliśmy do Kutna. Powiat duży, bogaty, rolniczy, pszenno-buraczany, jedyny, w którym znajdują się aż dwie cukrownie, osiąga rocznie 40 q pszenicy z ha, żyta 38 q. Żniwa są tu więc dużym wydarzeniem gospodarczym, a nie przygodą sportową.

Zaangażowanie żniwami udzieliło się tu wszystkim od Komitetu Powiatowego zaczynając, a na PZGS kończąc. Pierwszego sekretarza KP zastąpiłem akurat przy lekturze informacji dla KW na temat przygotowań całego powiatu do sprzętu wszystkich zbóż.

— W zasadzie powiat przygotowany jest dostatecznie do kampanii żniwnej — stwierdził sekretarz. W dniu gotowości czyli 26 czerwca prawie 85 proc. maszyn rolniczych było w pełni sprawnych do pracy. Żniwa w tym roku będą jednak ciężkie; 60 proc. jęczmienia oraz 10 proc. żyta i 10 proc. pszenicy wyległo na polach. Przyczyniły się do tego duże ulewne, no i niekiedy sami rolnicy przesadzili z zastosowaniem nawozów azotowych. Wyrosły długie, zbyt delikatne łodygi, które łatwo łamią się pod wpływem wichury i deszczu. Cóż, rolnicy z dużymi trudnościami opanowują sztukę umiejętnego posługiwania się nawozami sztucznymi.

Korzystając z okazji zapoznałem się również z „informacją dla KW”. Okazuje się, że żniwa w powiecie to olbrzymi kompleks spraw organizacyjnych. Trzeba przygotować sprzęt mechaniczny, zabez-

pieczyć magazyny, zapewnić zaopatrzenie, a nawet pomyśleć o dziecięcach. Toteż nic dziwnego, że przed żniwami panuje na szczeblu powiatu atmosfera przejęcia, podniecenia, no i narad, konferencji, posiedzeń. Wczoraj odbyła się w sprawie żniw narada w Prezydium. Jutro będzie posiedzenie w KP, dzisiaj jest konferencja w PZGS. Przedwczoraj telewizja obrobiła Międzykółkową Bazę Maszynową w Leszczynku. Balagan w Leszczynku cała Polska oglądała. A tu, w KG Wysoka-Wielka 5 młocarni i wszystkie niesprawne. W Gołębiewach Małych na 10 wiązałek 4 w remoncie, na 10 ciągników zaledwie połowa nadaje się do użytku.

W kutnowskim POM pełna mobilizacja. Dyrektor do spraw mechanizacji Franciszek Nadłonek zapewnia, że od jutra zgodnie z zarządzeniem wprowadza się ostre pogotowie techniczne. Jeden wóz techniczny przydzielony został specjalnie dziewczęciu „Bizonom” — nowym polskim kombajnom z Płocka, dwa wozy techniczne dla „Vistul”. Nazwa wydaje się być obca, ale kombajn rodzimy, też płocki. Oczywiście, praca bez przerwy, nie wyłączając niedziel i świąt. Żeby tylko telefony w powiecie nie zawiadły...

Na dziedzińcu POM stoją szeregiem potężne kombajny i ciągniki. Wszystkie odczyszczane, wyremontowane, wylakierowane, wypleszczone, tak jakby nie czekała je konfrontacja z wielką masą zbóż, ale za chwilę miała przyjechać Polska Kronika Filmowa albo i telewizyjna. Tymczasem przyjechałem tylko ja, człowiek skromny, który ciągnik nazywa jeszcze po staroświecku traktorem. Za czasów mojej młodości tak się mówiło, nawet śpiewało się pieśni o traktorach,

a nie o ciągnikach. Niespełna dwadzieścia lat temu napisałem swój pierwszy artykuł w życiu i był nim wywiad z traktorzystką właśnie z powiatu kutnowskiego. Ukazał się na pierwszej stronie „Głosu Robotniczego” w pobliżu miejsca, które obecnie zajmuje „Mały Głosik”. Dziś wywiadu nie będzie. Odczyszczane na wysoki połysk ciągniki czekają w bojowym ordynku na start. POM w Kutnie specjalizuje się szczególnie w remontach ciągników.

Tak jak w ciągniku najważniejszym urządzeniem jest pompa wtryskowa, tak najważniejszym człowiekiem w POM jest Jan Bielicki, daleki krewny Hanki Bielickiej, który te pompy wtryskowe reguluje. Koledzy nazywają go: „profesorem Molem polskiego traktora”. Zastąpiłem go akurat przy tej zbożnej czynności zaafektowanego, zajętego swą pracą. Zresztą w całym wielkim ośrodku oprócz niego spostrzegłem jeszcze może z czterech-pięciu robotników, a przecież praca nie jest tu zbyt zautomatyzowana. Po prostu wyraźny brak ludzi.

Dyrektor jednego z PGR wyjaśnił mi tajniki pracy POM. „Jak chcę, żeby mi w POM wyremontowali traktor w ciągu jednego tygodnia, to muszę go wysłać tam ze swoim kierowcą. Oni nie mają ludzi do roboty i to jest w ogóle podstawowy warunek przyjęcia ciągnika do naprawy. Jeśli się nie zgodzę to mi naprawią dopiero za dwa miesiące, a więc po żniwach. Proszę nie podawać jednak mojego nazwiska, gdyż pogorszę sobie tylko stosunki, a nic nie zwojuję, ponieważ podobnie jak z POM jest także z

Dalszy ciąg na str. 3



Ostatnie dni, obok fali upałów nad Europą, przyniosły nie lada sensację polityczną. Bo jakże inaczej nazwać dymisję francuskiego premiera Chaban-Delmasa, najprzystojniejszego, od czasu Edena, męża stanu na starym kontynencie.

Takiego obrotu sprawy — jak zgodnie podkreślają obserwatorzy polityczni w Paryżu — nie spodziewali się nawet jego... ministrowie. Żaden z nich bowiem nie był o tym z góry poinformowany.

Z nieoficjalnych przecieków ze sfer rządowych wynika, że Delmas nie uzasadnił szczegółowo motywów swego kroku. Nietrudno jest jednak je ustalić. I na pewno nie mają one do zlikwidowania w ostatnim wydarzeniu na forum międzynarodowym. Świadczyć może o tym choćby fakt, że po mianowaniu nowym premierem Pierre Messmera ogłoszono w Pałacu Elizejskim, iż polityka zagraniczna Francji nie ulegnie zmianie, podobnie jak szef nadsekrejarskiej dyplomacji.

Przyczyny dymisji Chaban-Delmasa wywodzą się więc ze sfery wewnętrznej. Otóż od dłuższego już czasu jego rząd, a przede wszystkim on sam, mocno stracił na popularności w szerokich warstwach społeczeństwa francuskiego przez niefortunne posunięcia gospodarcze i różne skandale finansowo-podatkowe. Przystawiony do przelotu się z chwilą wybuchu nieporozumień z prezydentem Pompidou. Prezydent podejrzewał bowiem premiera o podejmowanie prób ograniczenia jego władzy, a nawet zmierzających do zlikwidowania półprezydenckiego charakteru instytucji V Republiki. Nie mógł mu też wybaczyć daleko posuniętego liberalizmu i pewnych kompromisowych posunięć wobec grupowań, nie wchodzących w skład koalicji rządowej.

Następca Chaban-Delmasa — Pierre Messmer — jest ortodoksyjnym gaullistą i z pewnością będzie bardziej uległy Pompidou. Nie jest to nowa postać we francuskim życiu politycznym. W rządzie Delmasa pełnił on funkcję ministra do spraw departamentów i terytoriów zamorskich, przed laty natomiast był ministrem obrony i jednym z najbliższych współpracowników generała de Gaulle'a. Messmer liczy sobie 56 lat i jest doktorem prawa oraz absolwentem szkoły języków wschodnich.

Czy coś się zmieni w polityce wewnętrznej Francji pod jego rządami? — oto pytanie, które najczęściej zadają sobie teraz publicyści największych tamtejszych dzienników. Większość wysuwa te same wnioski, co rozmówcy paryskiego „FIGARO”:

„Nie dojdzie do rzeczywistej odnowy bez zmian politycznych i zmian większości (w tym ostatnim przypadku chodzi o partie, które w Zgromadzeniu Narodowym stanowią tzw. większość — przyp. M. R.). Cała reszta to palatywy i pozory. Konieczne jest zebranie się parlamentu na sesji nadzwyczajnej, by wysłuchać i ocenić nowy rząd” — stwierdził znany polityk Lacanuet.

„Dymisja rządu Chaban-Delmasa jest wynikiem kryzysu, ilustrującego wewnętrzne sprzeczności konserwatywnej koalicji rządowej. Masy pracujące sądzą, że zmiany nie dotyczą ich bezpośrednio” — oświadczył przedstawiciel jednej z central związkowych.

Takich wypowiedzi można by cytować wiele, podobnie jak sądów, iż zmiana na fotelu premiera ułatwi jednak gaullistom kampanię wyborczą wiosną 1973 r., przede wszystkim zaś pomoże w przeciąganiu na ich stronę niezdecydowanych wyborców lub tych, których Chaban-Delmas zniechęcił.

Nie mniejsze poruszenie niż dymisja w Paryżu wywołała ogłoszenie „Wspólnego oświadczenia Północy i Południa Korei”. Jego podpisanie zostało poprzedzone wysunięciem przez premiera Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej — Kim Ir Sena — propozycji pokojowego zjednoczenia kraju oraz rokowań w Phenianie i Seulu. Negocjatorem z ramienia Południa był dyrektor Centralnego Urzędu Wywiadowczego, a KRL-D reprezentował Pak Son Cchol (wicepremier). Negocjatorzy zostali przyjęci przez najwyższe osobistości obu koreańskich państw.

We „Wspólnym oświadczeniu” między innymi stwierdza się: „Strony osiągnęły porozumienie co do następujących zasad zjednoczenia kraju:

PO PIERWSZE — sprawę zjednoczenia należy zatwierdzić samodzielnie, bez pomocy sił zagranicznych, bez ingerencji z zewnątrz;

PO DRUGIE — zjednoczenie należy osiągnąć pokojową drogą, bez użycia sił zbrojnych jednej strony przeciw drugiej;

PO TRZECIE — bez względu na różnice w ideologii, idealach i systemach, niezbędne jest przede wszystkim doprowadzenie do wielkiej narodowej konsolidacji, stanowiącej bowiem jeden naród”.

Po 26 latach całkowitego zerwania stosunków Koreańczy z Południa i Północy nawiązali więc dialog. Nie oznacza to jednak, że dzień zjednoczenia jest tuż tuż. Istnieją między obu krajami zbyt duże różnice polityczne, jest zbyt wiele nieufności i sprzeczności interesów, by mogło stać się inaczej. Nie dopuszczają do tego również Amerykanie, którzy właściwie okupują Południe przy pomocy swej 40-tysięcznej armii. Ale nawiązanie dialogu na pewno złagodzi konfrontację militarną w tym rejonie świata, ułatwi wymianę gospodarczą i łączenie rodzin. ★

REASUMUJĄC — wspólne oświadczenie Południa i Północy jest jeszcze jednym dowodem, że pokojowe współistnienie jest możliwe i zatacza coraz szersze kręgi na wszystkich kontynentach. Jego dalszemu rozwojowi służyć ma także konferencja bezpieczeństwa w Europie. Na omówienie tego ostatniego tematu poświęcono wiele czasu podczas wizyty sekretarza generalnego ONZ — dr Kurta Waldheima — w Warszawie. Polska w przygotowaniach konferencji odgrywa wiodącą rolę. Nic więc dziwnego że sekretarz generalny ONZ uznał za jedną ze swych najpilniejszych i najważniejszych podróży — podróż do naszego kraju. Tym bardziej, iż po ratyfikacji układów Bonn—Warszawa i Bonn—Moskwa konferencja bezpieczeństwa przybiera z dnia na dzień coraz realniejszą kszaltę.

MAREK REGEL

● Zawszą o wszystkim ●

Zawszą o wszystkim ●

Czyżby odkrycie Atlantydy?

„TIME” — NOWY JORK

Wyspa Santorini na Morzu Śródziemnym wywiera fantastyczne wrażenie. Jest majestatyczna i wydaje się być tworem sił potężnych i niepojętych. Najbardziej zdumiewa wielka laguna o obwodzie około 37 mil. W jej centrum tkwią dwie niewysokie wysepki, ukształtowane z czarnej zastygłej lawy. U brzegu wschodniej części Santorini (mającej dziś kształt półksiężyca), urwiste skały strzelają wprost z morza na wysokość około 400 m. Głębokość laguny sięga też około 400 metrów, a jej wody kryją krater „tłącego się” wulkanu.

Cztery tysiące lat temu Santorini była jednolitą, górzystą masą, a bryła wyspy, na styku z powierzchni wody, miała kształt niemal idealnego koła. Jak wykazują ostatnie badania archeologiczne, na wyspie istniała wysoko rozwinięta cywilizacja. Pragnąc w jakiś sposób zabezpieczyć domy od wstrząsów podziemnych, wyspiarze montowali do narożników ścian z kamienia — drewniane belki. Ich wyroby garncarskie są uderzająco podobne do wyrobów, odnalezionych w Knossos na wyspie Krecie, 75 mil na południe od Santorini. Ale najbardziej zadziwiający dziełem rąk starożytnych wyspiarzy są freski. Niektóre z nich wystawiono w Ateńskim Muzeum Archeologicznym. Freski, wykonane w szczytowym okresie epoki brązu, przewyższają swym niepowtarzalnym pięknem wszystkie inne, jakie tylko kiedykolwiek odkryto w rejonie Morza Śródziemnego.

Około 1500 roku p.n.e. na Santorini nastąpił straszliwy wybuch. Cała centralna część wyspy wyleciała w powietrze, a morze natychmiast przykryło olbrzymią wyrwę. Był to kataklizm potworny.

Wybuch na Santorini można porównać tylko z erupcją Krakatau w 1883 roku. Wytworzona przez nią uderzeniowa fala powietrzna zburzyła wszystkie domy w promieniu kilkudziesięciu mil od wulkanu i trzykrotnie obiegła kulę ziemską. Gruba warstwa pływającej lawy pokryła morze.

Krater na Santorini jest pięciokrotnie większy od krateru Krakatau! Badania wykazały, że grubość warstwy popiołu wulkanicznego na Santorini wynosiła prawie 160 stóp, tj. około 56 metrów, podczas gdy na Krakatau zaledwie kilkanaście centymetrów. Liczby te dają wyobrażenie o monstrualnych rozmiarach tej katastrofy. Biorąc pod uwagę te, i inne jeszcze, ślady geologiczne przypuszczają, że siła wybuchu na Santorini była trzykrotnie, lub nawet czterokrotnie większa od siły wybuchu Krakatau. W mgnieniu oka z gębi ziemi wyzwoliła się energia równa wybuchowi bomby jądrowej o mocy 400 megaton.

Roztopiona lawa musiała zniszczyć żywe istoty na powierzchni o promieniu stu mil, włącznie z centralną częścią Krety. Do walk z rozżarzoną lawą przystąpiło morze. Woda zaczęła zalewać wytworzoną rozpadlinę, co, najprawdopodobniej, spowodowało silny odpływ wód na całym wybrzeżu Morza Śródziemnego. Wy-

tworzona gigantyczna fala, krusząc wszystko na swej drodze, zalała znaczne obszary wybrzeża Morza Śródziemnego. W ślad za zburzeniem Santorini uległo też zagładzie morskie imperium minojskiej Krety.

Taką wersję tego wydarzenia podaje profesor Marinatos, który ostatnie cztery lata spędził na wykopaliskach starożytnego miasta, odkrytego na Santorini. Nad miejscem prac wykopaliskowych zawsze unosi się obłok różowego pyłu. Rejon poszukiwań, leżący na południowym skraju wyspy, w miejscu osłoniętym od ostrego, północnego wiatru, jest głęboką, suchą wklęsłością gruntu. Marinatos rozpoczął prace wykopaliskowe od budowy tunelu w ziemi, pokrytej grubą warstwą pumeksu. „Od razu znaleźliśmy złotą żyłę, trafiając na centrum arystokratycznej dzielnicy miasta” — powiedział profesor.

Dzielnica była zabudowana na dwu- i trzypiętrowymi domami. W toku prac odkopano pozostałości balkonów, futryn drzwiowych i okiennych. Jak przypuszczają archeolodzy, uratował je od spróchnienia wulkaniczny popiół. Odnaleziono także 3500 ceramicznych waz i naczyń, jednakże nie udało się znaleźć ani kosztowności, ani śladów ludzi i zwierząt. Marinatos tłumaczy to tym, że mieszkańcy miasta, odczuwając podziemne wstrząsy i widząc kłęby dymu z popiołem, wyrzucane z krateru wulkanu, zostali przedzeleni o „groźnym niebezpieczeństwie i, najwidoczniej, zdążyli opuścić miasto, zabierając ze sobą co cenniejsze drobiazgi. Najbardziej interesującego znaleziska, z archeologicznego punktu widzenia: fresków — wziąć ze sobą, oczywiście, nie mogli.

Marinatos z dumą pokazuje ściany, na której jest wyobrażona tańcząca dziewczynka. Trzy i pół tysiąca lat kryła ją gruba warstwa ziemi.

Piękno i naukowy walor znalezisk nie budzą wątpliwości. Spory toczą się tylko o to, czy odkopane skarby kultury materialnej rzeczywiście świadczą o istnieniu legendarnej Atlantydy Platona. Niektórzy uczeni wyrażają pogląd, iż w Dialogach „Timaios” i „Kritias” Platon pofolgował fantazji. Jednakże sam Platon niejednokrotnie mówił, że wszystko, o czym pisał, jest prawdą, opartą na relacjach egipskich kapłanów.

Być może w Dialogach filozofa fantazja idzie w parze z prawdą. Według jego świadectwa Atlantyda znajdowała się za „Śłupami Heraklesa” (to znaczy za Cieśniną Gibraltarską). „Morze pochłonięło potężne Królestwo dziewięć tysięcy lat temu” — twierdził Platon. Niektóre szczegóły i opisy, podawane przez Platona, porównano z szeregiem zdarzeń, które miały miejsce na Santorini w okresie rozkwitu wieku brązu, potwierdzonych przez współczesną naukę. Zgadzały się wszystkie znane fakty o rozkwicie i tragicznym zmierzchu cywilizacji, którą archeolog Artur Evans nazwał minojską. Cywilizacja minojska i cywilizacja Atlantydy mogą dotyczyć jednej i tej samej cywilizacji.

Pośród argumentów, wysuwanych dla podtrzymania

wersji Platona, znajdują się i takie, których nie mógł znać filozof, ale które potwierdzają wykopaliska archeologiczne. Platon na przykład opowiada o centralnym miejscu, jakie zajmowały w religii mieszkańców Atlantydy święte byki. Na złotych minojskich „byczych pucharach” z Muzeum Ateńskiego są wyobrażenia miodzienci, polujący na byki. Platon opisuje właśnie takie rytualne polowanie na Atlantydzie. Twierdzi on także, że stolica Atlantydy była zbudowana z czerwonego, czarnego i białego kamienia. Takie właśnie połączenie ko-

lorów jest charakterystyczne dla skał Santorini.

Platon utrzymywał, że starożytna Atlantyda uległa zagładzie „w ciągu dnia i nocy”. Nie zginęła w ten sposób minojska Kreta, ale wyspa Santorini rzeczywiście zatonięła w morzu.

Co więcej, katastrofa ta spowodowała ogromne sputoszenia także na Krecie, co pociągnęło za sobą zagładę „minojskiej” cywilizacji. Profesor Marinatos kontynuuje prace wykopaliskowe na Santorini, a o powiedzeniu przez Platona historia Atlantydy, według jego zdania, z każdym dniem nabiera rumieńców

Za kulisami kryzysu

„FRANKFURTER ALLGEMEINE” — FRANKFURT N/MENEM

Dla codziennych pism francuskich nastąpiły ciężkie czasy. Od roku 1939 ich ogólny nakład nie zwiększył się prawie wcale, podczas gdy liczba ludności wzrosła o 25 procent. Fakt pozostaje faktem: Francuzi czytają mniej gazet. Na tysiąc mieszkańców przypada we Francji 248 gazet, podczas gdy w Zachodnich Niemczech — 328, a w Anglii — nawet 447. Jednocześnie francuska prasa staje się coraz bardziej „jedno-brzmująca”: Jeśli w 1939 roku ukazywało się 236 pism codziennych, to dzisiaj zaledwie 90.

Różnicę są przyczyny tego kryzysu. Jedną z nich jest rosnąca konkurencja ze strony radia i telewizji. Pewien paryski kierownik takśówki powiedział mi na przykład tak: „Przedtem zawsze czytywałem gazetę. Ale dziś radio podaje szybszą informację.” A wieczorem telewizja pokazuje, jak to się wszystko odbyło. Po wiem panu, że w naszych gazetach, oprócz ogłoszeń, nie ma co czytać. Nie warto tracić na nie ani czasu, ani pieniędzy”.

Nie on jeden jest takiego zdania. Rzeczywiście, radio i telewizja podają informacje ze świata szybciej i bardziej interesująco, dlatego też czytelników zmniejszyło już ogłoszenia, jak również wszelkie rodzaje drukowanej reklamy, która bezsilnie ruguje z gazet coraz to inne rubryki.

Większość gazet stołecznych ledwie włąże koniec z końcem. Z dotacji rządowych nie korzystają w Paryżu zaledwie cztery pisma codzienne — dwa ranne i dwie popołudniówki, przy czym trzy spośród nich nie są wydawane samodzielnie. „Pomagają” im koncerty wydawnicze, względnie mecenasi-przemysłowcy, żądni wpływów politycznych. Niemal cała prasa francuska, jak pisała niedawno jedna z gazet związkowych, „przeszła na służbę magnatów finansowych”.

Tymczasem zaostrza się kontrowersja pomiędzy dziennikarzami a wydawcami. Dziennikarze żądają praw demokratycznych i wolności słowa, a także równouprawnienia w zarządzaniu redakcjami. Wydawcy przeciwnie, uważają, że tylko ich absolutna samodzielność może zapewnić gazetom ustabilizowaną egzystencję. Warto w tym miejscu przypomnieć los gazety „Paris-Jour”. Jej właścicielka, pani Del Luca, zamknęła pismo tylko dlatego, że pracownicy redakcji ogłosili strajk na znak protestu przeciwko bezprawnemu zwolnieniu z pracy kilku dziennikarzy. Zgodnie z prawodawstwem francuskim, zwolnie-

nie z pracy z powodu udziału w strajku uważa się za poważne wykroczenie. Prawo do strajku jest, formalnie, gwarantowane. Ale oto co powiedziała pani Del Luca na temat zamknięcia gazety: „W tej całej sprawie były dla mnie dwie rzeczy nie do przyjęcia: to, że personel zastrajkował, i to, że moi redaktorzy wystąpili po stronie strajkujących”...

Ekonomiczne przyczyny kryzysu francuskiej prasy są oczywiste. Gazeta jest jedynym artykułem codziennego użytku, sprzedawanym grubo poniżej swojej wartości (od 1 czerwca 1968 roku cena sprzedaży francuskich pism codziennych wynosi 50 centymów. Wciąż mniej, niż kosztuje mała filiżanka kawy. Tylko niektóre gazety podniosły cenę sprzedaży). Dlatego też zależność gazet od reklamy nieustannie rośnie. Dochody z ogłoszeń w katolickiej gazecie „Croix” wynoszą 9 procent, ale konserwatywno-burżuazyjny „Figaro” zgarnia aż 78 procent.

Pragnąc zabezpieczyć dochodowość, coraz więcej gazet zmniejsza liczbę publikacji redakcyjnych i powiększa ilość ogłoszeń. I oczywiście czytelnicy mówią to samo, co mówili już ówsofer: w gazetach, oprócz ogłoszeń, nie ma nic do czytania.

Do wydania pisma codziennego o krajowym zasięgu potrzebny jest kapitał rzędu 40 milionów franków. Przy takich rozmiarach operacji finansowych nie może być mowy o najmniejszej omyłce w ocenie rynku, który pragnie rozwijać właściciel pisma. Wielki przemysłowiec i wydawca, Marcel Dasso, stracił ponad 10 milionów franków, gdy nie powiódł mu się z gazetą „24 Heures” („24 godzinny”).

Widoki na wydanie nowej gazety są dzisiaj, praktycznie rzecz biorąc, równe zeru. Z tego też powodu rośnie bezrobocie wśród dziennikarzy.

Produkcyjno-ekonomiczna analiza i badania rynku gazetowego prowadzą tylko do jednego wniosku: kryzys prasy stale się zaostrza. Niektórzy wydawcy wyrażają pogląd, iż zmniejszenie ilości ogłoszeń doprowadziłoby do szybkiego krachu.

Jednakże fakty świadczą również i o tym, że można się obejść bez zamieszczania ogłoszeń. Przykład: „L'Humanite”. Gazeta ta, z nakładem 161 tysięcy egzemplarzy, jest uważana za najbardziej reprezentatywne wydawnictwo jednej z największych partii politycznych Francji — blisko 5-milionowej Komunistycznej Partii Francji.

U progu żniw

Dalszy ciąg ze str. 1

Innymi przedsiębiorstwami spełniającymi usługi dla rolnictwa. Centralom Nasiennym nie opłaca się prowadzić skupu, przedsiębiorstwom remontowo-budowlanym nie opłaca się prowadzić remontów, szukają tylko roboty przy jakimś nowym obiekcie, a majątek dekapitalizuje się...

W PZGS również zastałem stan pełnej gotowości do żniw. Przed chwilą skończyła się narada w tej sprawie i wiceprezes Ryszard Zabłocki chętnie służy pełnym serwisem informacją.

Przygotowywaliśmy się od dłuższego czasu — zaczął prezes, gdy w tym momencie wszedł jakiś pracownik z plikiem dokumentów... No właśnie... My tu zajęci zabezpieczeniem organizacyjnym żniw, a ten mi z papierzyskami się zjawia.

— Panie prezesie, wszystko się z sobą łączy i te 7 milionów trzeba właściwie rozdysponować wg rozdzielnika — odrzekł pokornie urzędnik.

— Przygotowywaliśmy się od dłuższego czasu — kontynuował prezes — doto-warowaliśmy sklepy, dostosowaliśmy godziny otwarcia, wstrzymaliśmy urlopy. W tym roku sklepy będą zaopatrywane w świeży chleb codziennie. Zapewniams. Gorzej przedstawia się sytuacja z napojami. Wiadomo, że w okresie intensywnych upałów zawsze brak jest piwa i oranżady. Mamy spore ilości wody mineralnej i w zapasie soki pitne.

— A czego nie ma prezesie?

— Brak niestety ciągników. Ponad 300 gospodarzy czeka w kolejce po ciągniki, a tymczasem otrzymaliśmy zaledwie 15 sztuk. Dostarczyliśmy je kółkom rolniczym. Brak jest także maszyn omlotowych, snopowiązałek, kosiarzek, no, a z części zamiennych szczególnie bagnetów do kosiarzek. Złożyliśmy zapotrzebowanie na 2 tys. sztuk, dostaliśmy tylko 150. I to się powtarza co roku, a przecież taki bagnet potrafiłby ze zwykłego złomu zrobić zwykły kowal. Niech pan jeszcze napisze, że brak łożysk do snopowiązałek, a potem zanotuje przyjemniejszą rzecz. My tu, w Kutnowskiem, jako pierwsi w kraju wykonaliśmy wieloletnie kontrakcje zboża aż do 1975 roku. To jest coś.

Z zaferowanego i przejętego swą żniwną rolą Kutna, pełnego gorączkowych narad na powiatowym szczeblu udałem się na wieś do zaprzyjaźnionego gospodarza w Woli Pierowej. Wokół cisza i spokój, w górze świergot skowronków, w oddali ryk bydła, a w pobliżu pochrząkiwanie nierogacizny. Zaś w sklepie GS z napojów tylko ów sok pitny i kompot z ubiegłorocznych truskawek po 22 zł za słoik, gdy w tym samym czasie kilo świeżych truskawek kosztowało 16 zł. Poza tym zaopatrzenie dobre, gdyby nie brak konserw mięsnych i rybnych, znaczy zaopatrzenie dobre w makaron czterojajeczny, ocet, salceson i landrynki.

Zaprzyjaźnionego rolnika zastałem wśród łąnów pszenicy, siedział na miedzy z sąsiadem i słuchał jak kłós dojrzewa, a przy okazji odganiał gawrony od czeresni. Wyjątkowo łakome to ptaszyska na słodki owoc. Siedział na miedzy spokojny, ufny w naturalny porządek świata i pełen godności. Przecież dla niego mozołny rytuał żniw nie jest zaskoczeniem. Im bardziej denerwują się w powiecie, im bardziej niecierpliwia się w województwie, im bardziej przejmują się w stolicy, tym spokojniejszy jest chłop na wsi.

— Jak zapowiadają się żniwa w tym roku, panie Kallnowski — pytam gospodarza.

— Ciężko będzie, tyle zboża ulewy położyły, że z kosą trzeba się będzie przepraszać — usłyszałem w odpowiedzi.

— A więc tyle maszyn, tyle sprzętu, tyle zabiegów, czyżby to wszystko miało pójść na marne. Wracając do Łodzi gdzieś w pobliżu Łęczycy spotkałem na drodze motocyklistę w białym kasku na głowie, w czarnych goglach z błyszczącą kosą na ramieniu. Pedził polną drogą w stronę dojrzewających łąn. Czyżby to miał być symbol tegorocznego żniwiarza?

KAROL BADZIAK



RYSZARD BINKOWSKI

Festyn dla 300 tysięcy

W piątek 16 czerwca padał deszcz i szefostwo „Głosu Robotniczego” z ponurymi twarzami łamało sobie głowy, co będzie, jeśli deszcz poleje także w niedzielę. A już w ten fatalny piątek trzeba było odwołać występy Indian z Drezna, których stroje były zbyt kosztowne, by odegrać numery w deszczu i na podmokłym terenie.

Co będzie z tym świętem, z gigantyczną zabawą dla 300 tysięcy? Stworzono potężną machinę organizacyjną, wciągnięto do współpracy handel, wojsko, służbę zdrowia, straż pożarną, milicję, zorganizowano występy 50 zespołów artystycznych z kraju i państw socjalistycznych. Robili to ludzie, którzy na co dzień robią gazetę. Ale jeszcze raz sprawdziła się leninowska formuła o organizatorskiej funkcji prasy. I wielki festyn na Zdroju się odbył! Wbrew opiniom niektórych pesymistów — pogoda też dopisała.

Aby obejść wszystkie aleje w parku na Zdroju, trzeba przemierzyć ponad 40 km. Chodziłem. Chciałem pokazać w tym reportażu ogrom włożonej w imprezę pracy, ludzką radość, zabawę; chciałem też pokazać pracę głównych organizatorów, tych cichych bohaterów, dzięki którym w festynową niedzielę mogły bawić się tysiące...

* * *

Przedpołudnie niedzielne. Zielen, złoto i błękit. Jeszcze cicho, tylko przy muszli głośnie okrzyki radości. To setki maluchów cieszą się z pokazem zaczerpniętych marionetek.

A więc jeszcze senna cisza, ale już w tę senną wlewa się alchemicznym uśmiechem tłum. Woda sre-

brzy się w słońcu, rośnie upał; na trawie, na leżakach, w hamakach opalają się dziecięciny, jest czym oko napasać...

Robi się też trochę odpustowo: kapelusze słoneczne, parasolki, motyle na kółkach, po 2 zł pierścionki, lody ze słodkiej waty i Cyganki z plakietkami „GR” niosące wróżbę. Ale one jakos szybko zniknęły. A w ogóle ten kawałek odpustu, to tylko margines, „inicjatywa” nie objęta programem.

Tłumy dają gdzie indziej. Do stoisk. Czego tutaj nie ma? Książki, żywność, owoce, fotootyka, cepelia w stoiskach pod słomą. Były nawet lady chłodnicze i kusyły zapachami gorących potraw kuchnie polowe. Trudno było wybrać najbogatsze i najlepiej zorganizowane stoisko. Okazało się, że MHD — Górna i Polesie oraz kiermasz sportowy PSS — Baluty.

Redaktor Lewaszkiwicz narzekał na ból głowy od upału, ale śmiały mu się oczy pod ciemnymi okularami. Bo to dobre zaopatrzenie to i jego zasługa: „odpowiadał” za handel, a ten wywiązał się na medal. Łącznie artykułów spożywczych i przemysłowych sprzedano w ciągu niedzieli za kilkaset tysięcy zł.

W południe przez park przeszły dźwięki muzyki, zatrzeszczały od przrządów deski na wszystkich estradach! Wtedy to już nawet ZOO opustoszało; słoń zaczął wtórować orkiestrom dętym i tańczyły malpy na siatkach. Na ludowo było i na światowo, od bigbitu po sztajerka i łowicką spiewkę! Przez estrady przewinęły się barwnym korowodem ludowe zespoły włońskiarskie z województwa; nie mniejszym uznaniem cieszyły się występy na estradzie drugiej. (Na ma-

jówce w Mani Lesie), lecz największe tłumy gromadziły się przy muszli koncertowej, gdzie mieścił się sztab organizacyjny, a nie o tym potem...

Przeprowadziłem wśród gości sondaż na temat festynu.

Przódka z Zr15 im. Marchlewskiego:

— Podoba mi się! Takie festyny, mogłyby być z pięć razy w roku. Ale powinno być więcej instytucji i organizacji, które by pomogły waszej gazecie w organizacji imprezy.

Księgowa:
— Nastroj przyjemny, wszystko udane, zaopatrzenie znakomite. To musi bardzo dużo kosztować, taka impreza, a my tu się bawimy za darmo...

— Festyn — powiedziałem — zorganizowano z części pieniędzy uzyskanych z Wielkiej Loterii „GR”...
— No, to tym bardziej się chwali!

Działacz kulturalny:
— Znakomita rozrywka dla całego miasta!

Ludzie zachwycali się wystrojem plastycznym w plenerze, plakietkami, czapeczkami, balonami. Projektantem tych wszystkich cudów był red. J. Skonieczny. Kilka nocny nie przespał. Kiedy zabrakło emulsji, jeździł po mieście i znalazł!

Co jeszcze cieszyło mieszkańców miasta? Maluchów (a i rodziców) — wysięgi rowerowe. No i cała parada powietrzna. Specjalistą od „niebieskich” spraw jest w redakcji Z. Strzpek. To on latał samolotem po puchar dla najlepszych skoczków spadochronowych, zabezpieczał miejsce dla lądowania; ciekawość pchała ludzi na miejsce lądowania skoczków, więc ci, znakomicie manewrując linkami, żeglowali w jeszce puste miejsca nad polną. To było przeżycie, mocne przeżycie...

Wrómy jednak na zaplecze muszli koncertowej, do sztabu organizacyjnego. Tu dwoił się i troił red. A. Batorowicz. Czego on nie robił? Szukał przez mikrofon zagubionych synków, tatusiów, odbierał meldunki i wydawał polecenia przez radiotelefon, zatapiał oświetlenie.

Dla głównych organizatorów — trzeba tu wymienić również redaktorów M. Bańburę i E. Tulkę — nie starczało czasu na przyjemności. Bo bal był dla tysięcy lodzian. I bawili się. Zwłaszcza przy muszli koncertowej, gdzie walili starsi i młodzi. Ulubienicą publiczności była bardzo atrakcyjna piosenkarka z NRD — Erica. Jednego starszego pana tak pociągnął jej występ, że małą sukienkę uwiązał do butelki z piwem, sam zaś bohaterko parł do samej estrady.

— Chłopaki, balony dają! — wrzasnął ktoś wśród tłumu.

— Panie starszy, sprzedaj pan tę czapkę, bo dla pana trochę za mała — pertraktowali chłopaki, chcąc zdobyć cenne trofeum.

Barwne baloniki, czapeczki, dekoracyjne wstęgi — rozechwytywane były w mig, choć przygotowane ich kilkakrotnie więcej niż w poprzednich latach. Ktoś dał myśl, aby rzucić te upominki z samolotu. Ale wówczas ucierpiałoby drzewa i krzewy oraz ciała walczących o festynowe podarki. Dlatego też wozil je samochodem red. Gromiec. Chciał uniknąć tłoku, ale wkrótce znano go już we wszystkich częściach parku. Miał coś takiego w twarzy, że każdy kapował, iż ma coś do podarowania. I wtedy samochód chwiał się niebezpiecznie i trzeszczał. Więc red. Gromiec uciekał. Gonili go pieszo i na rowerach. Mylił trop, wpadał w bożne aleki, wyrzucał podarki i czmychał. Takim to sposobem uporał się z „łowarem”. Zdjął z głowy i oddał własną, ostatnią czapeczkę.

— Co miałem zrobić — powiedział — kiedy ojciec podszedł i płakał, że nie może sobie z małym synkiem poradzić. Dopóki ojciec nie zobędzie czapki, zagroził mi, musi wzięć go „na barana”. Żal mi było zmęczonego ojca, synka też...

* * *

Nad Zdrowem zapadał zmierzch. Jeszcze było pełno muzyki, ale ludzie zaczęli opuszczać centralne punkty festynu. Wtedy red. Kollarek wydał polecenie odstrzelenia dziennych rakiet. Zaraz było gęściej, tłumniej. A potem poleciały z nieba podarki na spadochronach. Misie, lalki, koziołki-matolki. Wpadały w wodę, ale żaden z podarunków nie zatonął, gdyż natychmiast zostawały wyławiane przez kajakarzy.

Gęstniał mrok, w którym dopełniał się wielki finał. Huk rakiet, syk rwących się ogni sztucznych, „bomby włoskie”, „jupitery”; nieba w barwnych ognistych kwiatach... odbitych w lustrze stawu. I zachwycone, zdumione tym pięknym widowiskiem tłumy, a jeszcze bardziej zdziwione parkowe labedzie...

Park wyludniał się powoli. Sprawnie pracowała milicja przy rozładowywaniu „korków”; były przecież setki motocykli i samochodów ze znakami rejestracyjnymi Łodzi, województwa i innych województw. Nie odnotowano żadnej interwencji milicyjnej, bo nawet chuliganizm użeczeni byli rozmachem i pięknem wielkiego festynu.

Kończyła się największa, jak dotąd, w historii Łodzi i województwa impreza. Pozostała wspomnienie tej pełnej wesołości niedzieli. A za rok „Głos Robotniczy” znów zaprosi swych czytelników na Zdrowie...

HAMULCE POSTĘPU

Dziewięć lat wykorzystywał sytuację, którą określono później jako „nie-dowład organizacyjny”. Dziewięć lat różne kontrole i przez organizacyjną strukturę przedsiębiorstwa i teraz okazało się, że przez te dziewięć lat „zagarnął” (takie jest fachowe słowo zastępujące ukartowany rabunek) towary i surowce wartości ponad 4 mln zł. To w Tomaszowskiej Fabryce Filców i Tkanin Technicznych. W Piotrkowie, w czterech maszynach, kradziono „nadwyżki” wędlin. W wyniku ujawnienia przestępstwa u podejrzanych i aresztowanych opieczętowano mienie ruchome, również na około 4 mln zł. W ciągu kilku lat główny księgo-

wy z Łowicza fałszował czek gotówkowy, co mu „dało” 700 tys. zł.

Wiele przykładów o mniejszej lub większej wartości szkód i strat ujawniono w ciągu jednego roku, na terenie woj. łódzkiego. Tych przestępstw byłoby nawet więcej, gdyby nie wysiłki organów ścigania. Nazywa się to profilaktyką, ale dzięki niej właśnie aż w 378 przypadkach, w ubiegłym roku, udało się udaremnić dokonanie przestępstwa. Tak czy owak — alarmujące są przykłady, alarmująca sytuacja, tym bardziej, że ten wróg, podgryzający korzenie naszego życia i hamujący postęp, działa tuż obok, można powiedzieć przez ścianę, wśród tysięcy, setek tysięcy ludzi uczciwych, rzetelnie wykonu-

jących swe obowiązki, pracujących na nasz dzień dzisiejszy i nasze jutro. Kontrast jest tak jaskrawy, że i narada, z której pochodzą te przykłady, sprawiała raczej wrazenie pola walki, niż konferencji.

Rozpoznanie, niezbędne przed każdą batalią z pewnością istnieje: warunki złodziejom i przestępcom tworzą nieraz kierownicy i dyrektorzy niektórych przedsiębiorstw. Nie dopilnują, aby plac z materiałami był ogrodzony i należycie strzeżony, aby kontrola stanu surowców i gotowych wyrobów były systematyczne i dokładne, aby magazyny były dobrze pilnowane. Czasem zawini jedynie niesprawna organizacja służby dozoru nocnego. Z tego co mówił prezes spółdzielni gminnych można było snuć rozmaite wnioski. Bo sytuacja była taka: sprowadzono do wszystkich magazynów i składów zegary kontrolne, które dozorczy nocni muszą nakrecać o określonych godzinach, dając dowód, że nie śpią na służbie, a jeśli nie śpią, to z pewnością pilnują. Więc kilka dni nakrecał oni te zegary, aż nagle zaczęły się wszystkie psuć. Bagatela — 150 zegarów w województwie. I chyba zaczęły się psuć bynajmniej nie na skutek wadliwości mechanizmów. Dlaczego jednak je psu? Czy emeryci i inwalidzi, pełniący najczęściej służbę strażników mienia społecznego, tak bardzo lubią spać, że aż jest im obojętna groźba okradzenia magazynu? A może zegary „psują się” tylko dlatego, że z tym lub owym strażnikiem zwącha się bandzior, czyhający na cudze mienie?

Ale nie tylko strażnicy i portierzy. Ludzie odpowiedzialni za powierzone im mienie państwowe pracują czasem tak, jakby im była obojętna całość powierzzonego im dobra. W Przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym Gospodarki Komunalnej w Ozorkowie stwierdzono w czasie kontroli, że na wolnym powietrzu składowane są bez żadnego zabezpieczenia różne wartościowe materiały, że w pomieszczeniach biurowych znajdują się ogólnie dostępne dla amatorów z zewnątrz dokumenty finansowo-księgowo, że samochody ciężarowe mogłyby tam uruchomić każdy chętny z ulicy i wyjechać sobie „w Polskę”, gdyż znajdowała się w tych samochodach nawet dokumentacja przewoźowa, nawet kluczyki od zapłonu. W kółku rolniczym w Teklinowie, pow. Wieruszów, sprzęt i narzędzia rolnicze składowano pod gołym niebem, narażając je i na kradzież i na korozję. Na teren budowy w Kuluszkach, wykonywanej przez Rawsko-Koluszkowskie Przedś. Budowlane, każdy mógł wejść i wziąć sobie, co mu potrzebne — ramy okienne, pape, eternit, skrzydła itp. Ten skład był ogrodzony siatką drucianą, ale w wielu miejscach były w niej dziury, przez które wchodził wiewiór, przelazł złodziejski więc był przez nią łatwy.

• * •

Dyscyplina społeczna, uczciwość ludzka, poczucie odpowiedzialności — to cechy, których brak stawia w stan oskarżenia jednostki i całe grupy. W spółdzielni w Chociwiu ze wszelką ceną chciano uruchomić produkcję farb i lakierów, a nie stworzono odpowiednich warunków. Po szeregu kontroli przeciwpożarowych wydano polecenia, ale i te nie były właściwie wykonane — w rezultacie trzeba było wydać decyzję o wstrzymaniu produkcji, bo sytuacja groziła pożarem lub wybuchem. Lekceważenie i karygodna niefrasobliwość.

Nowy przykład: w biurze konstrukcyjnym zakładów „EMIT” w Żychlinie pożar wybuchł od pozostawionej bez nadzoru kuchenki elektrycznej. Spaliło się pomieszczenie biurowe i cenne dokumentacje techniczne. Dokumentacje, na które czekały oddziały produkcyjne. W tym „EMICIE” załoga osiąga dobre wyniki w

pracy, stara się, wielu wśród niej przodowników i ludzi godnych naśladowania, a przecież jednostki lekkomyślne, bez poczucia odpowiedzialności potrafią tej załodze rzucić kłódę pod nogi.

Od lekkomyślności jeden krok do zwykłego lekceważenia. Są np. przedsiębiorstwa, w których pracownicy administracji uważają się za kogoś „lepszego” i nie raczą nawet usprawiedliwić swej nieobecności (12 czerwca br. w POM w Piotrkowie było takich trzech pracowników). W innych fabrykach i instytucjach — dla utrudnienia kontroli — takie niezadowolone jednostki nie uważają za stosowne podpisać nawet listy obecności. Kierownicy i dyrektorzy takich przedsiębiorstw nie zdają sobie chyba sprawy, jak postawa tych jednostek demoralizująco wpływa na pozostałą większość zatrudnionych. Wydaje się zresztą, że w pewnych przypadkach działa jakaś odmiana ślepoty. Kierownicy zatapiają np. między sobą sprawy, które potem wywołują niezadowolone całej załogi. Nie liczą się z opinią pracowników. W pewnej spółdzielni w Tomaszowie Maz. tak podzielono premie za dodatkową produkcję, którą uzyskano w wyniku szczególnie ofiarnej pracy robotników, że przeciętna dla pracownika biurowego wyniosła 2.300 zł. a fizycznego 563 złote. Nie zapominajmy przy tym, że członkowie zarządu, z głównym księgowym i kierownikiem zakładu, pobrali premie od 5 tys. do 6.800 zł.

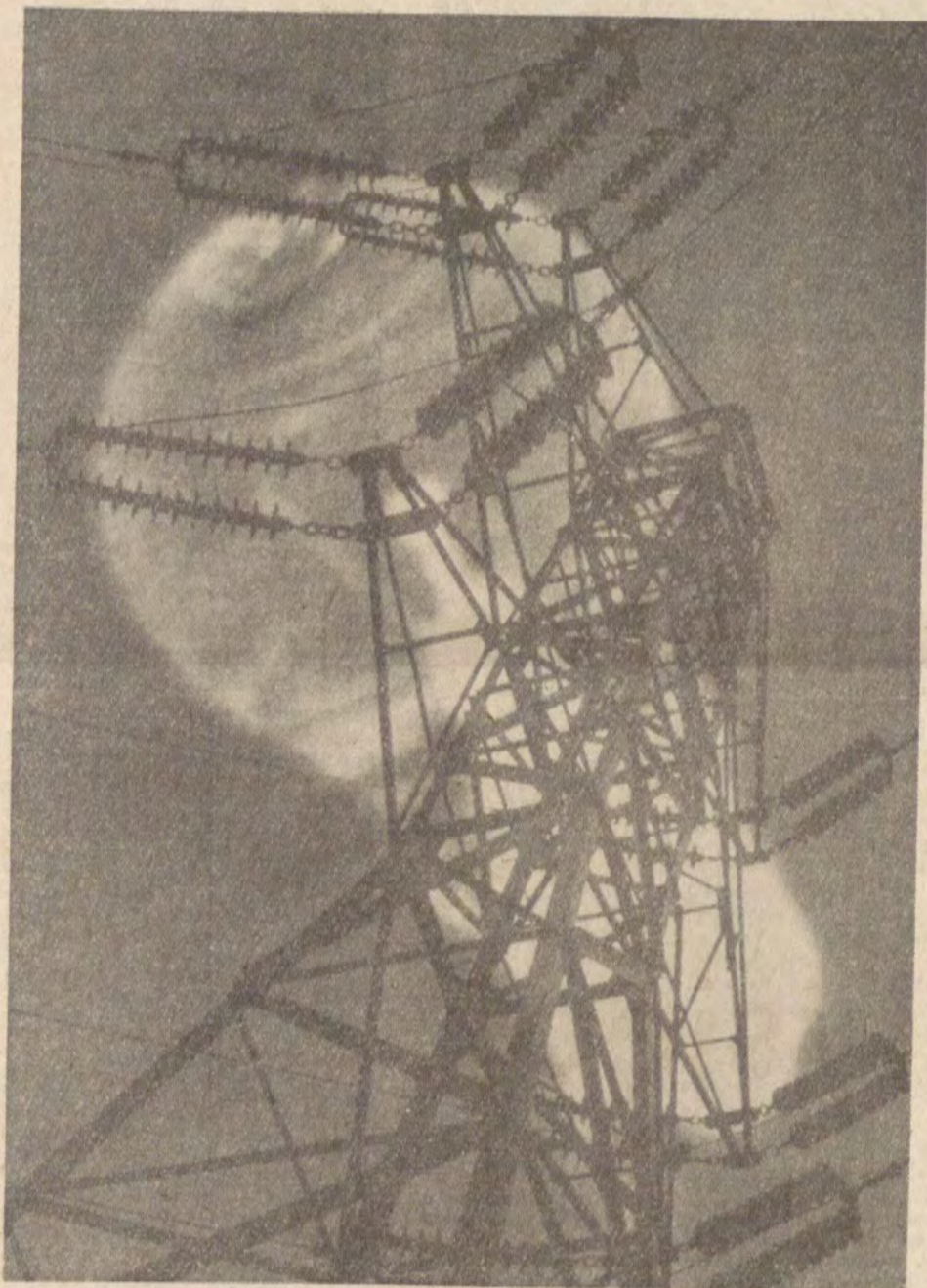
Nazywamy to karygodnym działaniem w imię wąskiego interesu grup, a ze szkoda dla załogi. Takie działania nie sprzyja atmosferze, w której załoga chciałaby i mogła dobrze i wydajnie pracować. Jest to działanie demoralizujące i demobilizujące. Sprzyja ono garstce nierobów, umacniając ich w postawach obojętności wobec tego, do czego dąży większość załogi.

Padły takie głosy: „bardzo złe efekty przynosi tolerowanie w zespołach pracowniczych jednostek warcholskich, pijaków i amatorów „lekkiego chleba”. Nie wszędzie jeszcze postawiono sprawę jasno, nie wszędzie jest właściwe spojrzenie i ocena zachowania się takich jednostek, które ciągną wszystko w dół, hamują postęp w produkcji, pomniejszają dorobek większości”. W jednym ze zjednoczeń budowlanych powiedziano mi kiedyś, że na każdej budowie jest około 10 proc. tych, którzy wszystko lekceważą, objają się, piją samą i rozpijąją innych, lekceważą dyscyplinę społeczną i dyscyplinę pracy.

Można przypuszczać, że wielkość tego zjawiska jest nieco wyolbrzymiona. Można przypuszczać, że już nazajutrz po podjęciu bardziej zdecydowanych kroków w stosunku do tego marginesu — skurczyłby się on i zmalał do nielicznych jednostek. Rozzuchwiała ludzi, podatnych na zło, słabość i pobłażanie niektórych kierowników, brygadzystów czy nawet dyrektorów. Czas z tym skończyć.

Przed wszystkim niezbędna jest do tego dokładna fotografia ludzkich postaw, wyników pracy tych wszystkich osób i grup, które budzą zastrzeżenia, które nie przystają do owej większości, dźwigającej cały ciężar produkcji i rozwoju w fabryce czy przedsiębiorstwie. Uważa się bowiem, że już czas na uwolnienie się od tych jednostek, które stanowią źródło rozkładu.

Musimy pracować lepiej i rzetelniej. To przeświadczenie wynika z programu, który stał się fascynacją całego zdrowo myślącego społeczeństwa. Pragniemy szybciej, niż kiedykolwiek pokonywać trudności, szybciej niż kiedykolwiek rozwijać fabryki i miasta, szybciej niż w historii całych dziesięcioleci — stać się społeczeństwem nowoczesnym, dostatnio żyjącym. Na naradzie, o której wspominałam, formułowano to wyraźnie: nie może być mowy o sprawnej realizacji uchwał VI Zjazdu bez usunięcia wszystkich hamulców na obranej przez naród drodze.



Anegdoty o Łasku?! — wykrzyknął ze zdziwieniem pewien prostack uchodzący w tym mieście za intelektualistę. — Ależ na przestrzeni mojego życia nie spotkałem ani razu zdarzenia, które pobudziłyby mnie do śmiechu. Tu zawsze było smutno i szaro.

Tak rozpoczęła się moja wędrówka w poszukiwaniu anegdot o mieście, które prawa miejskie uzyskało w 1422 r. z rąk miłoścywie wówczas panującego króla Władysława Jagiełły. Odwiedzałem rzemieślników i nauczycieli, urzędników i taksówkarzy, spotykałem się z ludźmi pamiętajacymi ostatniego z cesarów i zbieraczami folkloru Ziemi Łaskiej. Straciłem niezliczoną ilość godzin na rozmowach, chcąc odnaleźć zapomniane zdarzenia, fakty lub co celniejsze powiedzonka miejscowych nestorów. Moje pytania budziły zdumienie, zażenowanie, podejrzliwość i strach. Pewien taksówkarz, gdy wyluszczyłem mu o co chodzi, obejrzał się dookoła i ścisząc głos do szeptu, wymamrotał: „Panie, ja przeżyłem okupację tylko dlatego, że trzymałem język za zębami. To się, jak pan widzi, oplaca. Teraz mam swoją pracę, żyję spokojnie i do żadnej polityki mnie pan nie wciągaj!” Były rozmowy i innego charakteru. Oto w mieszkaniu pewnego urzędnika, który ponoć z amatorstwa zajmuję się historią tego miasta, dowie-

działem się, że Łask nigdy nie miał niezłego w swoich dziejach co można byłoby potraktować jako anegdotę. Zresztą on nigdy nie zajmował się czytaniem, bo to tylko wzrok się psuje i niezdrowa myśl przychodzi człowiekowi do głowy...

EUGENIUSZ IWANICKI

Anegdoty o przestawnym mieście Łasku

Nie pozostawało zatem nic innego, jak rozpocząć poszukiwania wśród starych druków, pamiętników, dzienników lub wylawiać co celniejsze facecje od przygodnych rozmówców.

Tak powstał esej „Łask w anegdocie”, z którego pochodzi poniższy fragment. Wybrałem po parę anegdot z różnych epok historycznych, zamierzając w przyszłości opublikować całość w książce poświęconej specjalnie temu miastu.

Ołóż Aleksander Kraushar w swojej obszernej książce pt. „Olbrachci Łaski wojewoda sieradzki” przytacza na podstawie pamiętników Broel Platara następującą anegdotę, która daje pochlebne świadectwo szesnastowiecznemu ba-

— Chłopi! By mi nie szło o dwór carski tedybym ci list dał zjesz z czesną niesmacznym, i nauczylbym cie ludzi uczciwych doświadczać... Aleć tak powiadam: Nie noś mi drugi raz takiego, bo pewnie zjesz!”

Tę anegdotę, jak i następną, po-

o dyskursy różne przydawa”. W liście owym czytamy: „Pamiętam raz, kiedy go (tzn. króla) nieboszczyk pan Łaski, wojewoda sieradzki, prosił o coś, a on siedział na krześle, po jednej stronie szeptal mu w ucho z półgodziny, prosząc i ukazując merita swoje, nie odpowiedział nic; zatem rzekł: „Podobno to WKM na to ucho nie dosłyszysz” i zaszedł do drugiego, i szeptal ci u drugiego drugie półgodziny, a nie wyszeptal nic, i tak bez response'u odszedł”.

A teraz o parę wieków później, bowiem zawsze najciekawsza bywa najbliższa historia i najbliższa anegdota.

Dziedziec na Łasku, Michał Szwajcer, przeszedł do historii jako niezwykły kutwa i skąpiec. W owym czasie jego dworek znajdował się w dzisiejszym parku miejskim, toteż wszelkiego rodzaju żebracy i włóczędzy mieli łatwy dostęp do pamiłki dziedziczki, która lubiła wspierać i pomagać biednym. Zdarzyło się tedy, że jakiś żebrak wracając z dworku, spotkał jaśnie pana dziedzica i schodząc mu z drogi zdjął czapkę. Szwajcer zatrzymał się i zapytał:

— Ileż to ci dziedziczka dała?

Kolorowe domy Mołdawii

Jeżeli reportaż niniejszy będzie się perlił winem moldawskim, to wszystkie obserwacje zostały poczynione — nie przeczę — po litrze lub dwóch.

Pierwszą winnicę rumuńską zwiedzałem w pobliżu Jass, pięknej moldawskiej stolicy, gdzie troszczą się o plony spółdzielcze a palcem wytykają winnicę za miedzą, która należy do gospodarstwa państwowego. Ale polóżmy to na karb sąsiedzkich niesnasek, bo trafię też do winnicy państwowej w miejscowości Bucium, a jej imponujący obraz również na długo zostanie w pamięci.

Więc nie będę się rozwodził nad wyglądem winnic, bo dla mnie, przybysza z północy wszystkie one jednakie — skąpane w południowym słońcu długie rzędy soczyste zielonych krzaków — bo to wiosna dopiero i trzeba jeszcze kilka miesięcy poczekać, zanim nad polami zabrzmi pieśń winobrania. Gdy się tak patrzy na długie rzędy winnej łąki, rośli ginące za grzbietem wzgórz, to się laikowi zdaje, że to po prostu piękne, zielone krzewy, takie same w tej winnicy jak i w tamtej, a przecież z ich owoców wyciekną różne gatunki złościstego płynu a rumuńscy producenci wina chętnie wyjawiają niektóre tajemnice. O, na przykład te krzewy — to „wino babskie”. Poznasz je po szeroko rozczapierzonej segmentach liści. Ma ono właściwości, powiadają, osobliwe. Kiedy zobaczysz młodą kobietę, że wstaje rano niewyspana, a tęsknota powłoka jej oczy słońcami, to daj jej odrobinę wina „babskiego” i... trzymaj się. A po tamtej stronie miedzy — „wino dziewicze” — ma liście zwarte, zielone, a napój z niego mocny, do głowy uderza bardziej niż inne.

Pośrodku winnicy w Bucium — stary dom, który należał kiedyś do prywatnego właściciela, a dziś jest siedzibą gospodarstwa państwowego. Piękny to dom, zbudowany w stylu moldawskim, kolorowy jak wszyscy, kłopotliwie, w Moldawii. Wieś moldawska cieszy oczy stylowymi domkami, które stanowią regule. Frontową ścianę osłania wydłużony dach, wsparty na białych kolumnach. Tynki na tych domkach kolorowe, wykończone nieskomplikowaną, a miłą dla oka fakturą. Zresztą wsie Siedmiogrodu lub Wołoszczyzny też zachowały budownictwo stylowe i w ten sposób wsie rumuńskie są konstruktywnym elementem ładnego z natury krajobrazu.

Zarząd winnicy mieści się więc w domu moldawskim, w którego podziemi zamieniono dawną kaplicę właściciela na salę biesiadną, żeby nie powiedzieć — przybytek Bacchusa. Ściany ceglane, skleplone nad głową, a czerwieni cegły urozmaicona niewielkimi portretami płasko rzeźbionymi w piaskowcu. Chłodno tu — jak na piw-

Dalszy ciąg na str. 8

str. 5

Pytanie to stało przed każdym pokoleniem Polaków szczególnie ostro od chwili utraty niepodległości w 1795 roku. W polskiej historiografii i publicystyce od dawna była — i częściowo jest — żywa tendencja do rozdziałania, a nawet przeciwstawiania wielorakich prac organicznych spiskom i walkom powstańczym, co więcej, do szukania odpowiedzi, która z tych dróg była właściwsza, wartościowsza dla narodu. Ale chyba nie idzie o to, by jednych przedkładać nad drugich, tych co walczyli, nad tych, co prowadzili prace organiczne i odwrotnie, bo, jak ukazują liczne przykłady w całym XIX wieku istniała spora grupa tych, co biograficznie swoje podzieliłi na dwa akty — walkę w czasach młodości i pracę w okresie dojrzałości. I oni to właśnie swoimi biografiami potwierdzili, że obie te drogi jednak prowadziły ku Polsce, a wybór ich był uwarunkowany nie tylko ich subiektywną postawą, ale i w równym stopniu obiektywną sytuacją.

I takim było też życie Ludwika Zychlińskiego. W 1868 roku powrócił z syberyjskiej katorgi. Miał wtedy 31 lat i jak się później okazało, więcej niż połowę życia za sobą, i to jakiegoż życia! Brał udział w wyprawie Garibaldi na Sycylię, walczył w szeregach armii Unii w czasie wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych, dowodził oddziałem w powstaniu styczniowym, wreszcie odbył 5 lat katorgi. Poznał już takich ludzi jak: Garibaldi, Lincoln, Hercen, Bakunin, Blanqui. Kimże więc był ten zapomniany przez historyków, niepospolity człowiek? Czy tylko jednym z tych romantyków, co na polach bitew szukali pięknej śmierci, czy też gorącym patriotą, który działał w konkretnym powiązaniu z przemianami swojej epoki?

Spójrzmy zatem na warunki, które dają odpowiedź na to pytanie. Ludwik Zychliński urodził się w 1837 roku w Wieropolu. Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny herbu Szeliga, w której żywe były tradycje powstańcze roku 1830, a później 1848. Jednak kończąc 20 rok życia i nie studiując, był zmuszony do obojczy służby wojskowej w pruskiej armii. Był to koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku. W zaborze pruskim narastała kolejna fala germanizacji. Znikła polska nazwa „Wielkiego Księstwa Poznańskiego”, a zastąpiła ją bezprawnie wprowadzona nowa „Provinz Posen”. Z herbu prowincji usunięto białego orzelka, wprowadzając czarne — pruskiego. Ustanowione nowe prawo o stowarzyszeniach likwidowało Ligę Polską, walcząca na rzecz wzmocnienia „znania elementu polskiego w tym zaborze. Prawo o prasie doprowadziło do upadku wszystkie czasopisma polskie, wychodzące przed „Wiosną Ludów”, poza zachowawczym miesięcznikiem „Przegląd Poznański”. Zdzławione zostało Towarzystwo Kredytowe Ziemięskie. Przybyzów — Polaków szybko usuwano z „prowincji”, a co niebezpieczniejszych emigrantów gorliwie wydawano Rosji.

Jakie reakcje w młodych ludziach mogła wywołać taka polityka, a szczególnie u tych, których ubierała w zniechęcony pruski mundur. Tym bardziej, że w 1859 roku, wojna Francji i Sardynii przeciwko Austrii stawiała nie

tylko kwestię wyzwolenia Lombardii i Wenecji, a więc sprawę zjednoczenia Włoch, ale kwestię realizacji zasady narodowości w Europie. A przecież niemniej wyobraźnię młodych w kraju i na emigracji rozpalala agitacja Ludwika Mierosławskiego na rzecz poparcia włoskiego ruchu. Wydawało się wówczas, że znowu dla narodu polskiego nadchodzi chwila bliskiego zwycięstwa. Dlatego, kiedy Garibaldi dzielił dni od słynnej wyprawy na Sycylię, Zychliński zdezerterował z wojska i włączył się w jego szereg. Uczestniczył w triumfalnym pochodzie „czerwonych koszu” i przeżywał radość narodu włoskiego z odniesionego zwycięstwa.

Jednak koronacja Wiktora Emanuela II przygasila entuzjazm młodych demokratów tak samo, jak powściągliwa postawa Napoleona III, na którego interwencję w sprawie polskiej tak liczono, zarówno w kraju, jak i na emigracji. Dla Zychlińskiego droga powrotu do domu została zamknięta. Udał się więc do krewnych w Anglii. Owcześnie emigracja londyńska wegetowała. Wymarła stara kadra przywódców: Wojciech Darasz, Karol Stolzman i najwybitniejszy — Stanisław Worcell. Wtedy to Zychliński zbliżył się do

my nie zapominamy wynagrodzić tych, którzy nam dopomogli do zwalczania nieprzyjaciela, pragnącego utrzymać niewolnictwo w Republice i dążącego do rozbitcia całości owej Unii dobrowolnie złączonej w silną państwową i solidarną całość”.

Zychliński pozostał w szeregach Unii do chwili nadejścia pierwszych wiadomości o wybuchu powstania w kraju.

Teraz jego obowiązkiem było „być pożytecznym” ojczyźnie, przekazać jej swoje doświadczenie i umiejętności. Ale wracając do kraju pilnie obserwował nastroje w społeczeństwach: angielskim, francuskim, niemieckim. Jako bystry obserwator zauważył brak jakiegokolwiek poważniejszej reakcji ze strony rządów tych państw, na które tak liczili powstańcy. I na pewno w tym czasie w młodym, odważnym i inteligentnym umyśle zaczęło się rodzić pytanie, jaką drogą winien kroczyć jego naród, by odzyskać utraconą niepodległość?

Odpowiedź na to pytanie zaczęła dojrzywać od chwili, gdy stanął on w lasach podwarszawskich z nominacją, na dowódcę tworzącego się oddziału powstańczego „Dzieci warszawskich” (była to

BOGDAN GRZELONSKI

JAK BYĆ POLAKIEM?

grona międzynarodowych działaczy rewolucyjno-demokratycznych: Aleksandra Hercena, Michała Bakunina, Ludwika Blanqui. W ich kręgu sprawa wolności Polski była żywa, bo przecież wiązała się ze sprawą wyzwolenia społecznego uciskających państw. Ale rozpalona i życiowo energiczna wyobraźnia młodego patriotę pragnęła czynu.

Z początkiem 1861 roku w Stanach wybuchła wojna secesyjna pomiędzy Północą a Południem. Zychliński podążył za ocean, bo „miłość wolności jest zbyt głęboko od wieków zakorzeniona w sercach synów Polski” i nie było to już tylko romantyczne pragnienie walki, ale przejęcie hasła, które głosił postępowi demokraci, z którymi spotykał się na londyńskim bruku. Wcześniej pięknie i trafnie ujęły to słowa Stanisława Worcella. — „Gdziekolwiek walczono o wolność, tam wszędzie Polska była”. Również podobnie rozumiał intencje Polaków prezydent Stanów Zjednoczonych — Abraham Lincoln, kiedy zwracał się do polskich oficerów walczących w szeregach Unii. Jak wspominał Zychliński „Prezydent oświadczył, że każdy Polak już w swej krwi posiada męstwo w boju i jest dobrym żołnierzem... Do widzenia z Panami i po wojnie, bo

młodzież, która uciekała przed branką. Właśnie tutaj, w codziennych trudach partyzanckiej walki zrozumiał, że zryw nielicznej części społeczeństwa nie może przynieść zwycięstwa. Sprawa odzyskania wolności musi stać się ogólnonarodową, a stać się nią może wtedy, gdy do końca rozwiąże kwestię chłopską. Dlatego nie dawało mu już satysfakcji odniesione zwycięstwo pod Ossą, jedno z nielicznych w całym powstaniu. Ale był konsekwentny, nie opuszczał, mimo ran, pola walki, trwał na stanowisku. Dosięgnął go los taki, jak tysiące innych, którzy nie polegali na polach bitew — katorga na Syberii. Klęska powstania dla całego pokolenia Zychlińskiego znowu stawiała pytanie — „Jak być Polakiem?”

Tylko teraz Zychliński zwracał się do rozmyślań, które prowadziły go do postawy organicznika. Dlatego z chwilą odzyskania wolności w 1868 roku osiedlił się w zaborze austriackim. Bo też tam najwcześniej nawrócono do hasła pracy organicznej. Już w 1865 roku Paweł Popiel, weteran powstania listopadowego, poważny autoritet wśród polityków krakowskich, wystąpił z listem otwartym przeciw powstaniom i emigracji, uważając ją za przeżytek.

dnie” wypełnione pracą, którą tak samo traktował, jak walkę, z największym zapalem, energią i oddaniem.

Zychliński nie był romantykiem. Był Polakiem, dla którego patriotyzm „nabiera ogni i istotnego znaczenia w konkretnym powiązaniu z przemianami epoki i określonym kręgiem ważnych dla przyszłości idei”. Dlatego stawał na polach bitew, kiedy chwila wydawała się po temu właściwa. Oddawał się pracom organicznym, gdy te wskazywała racja narodu. I dlatego należał Zychliński do tych, którzy na przestrzeni całego XIX wieku potrafili znaleźć odpowiedź na pytanie: „Jak być Polakiem?”, i przeto, jak pisał w zakończeniu pamiętnika „przekonać ludy Europy, że naród polski żyje i posiada siły w swym wnętrzu i że musi stanąć w gronie narodów, jako pożyteczne dla ludzkości ogniwo”.

1. Cytat z książki prof. Bogusława Leśnodorskiego pt.: „ROZMOWY Z PRZESZŁOŚCIĄ”, wyd. Wiedza Po-wszechna 1971.

Zebrał wyciągnął gdzieś z dna torby złotówkę i pokazał. Dziedziec szybko ją schwycił i wsunął do swojej kieszeni, a na rękę zebrała pokłóżył grosz.

— Zapamiętaj sobie, że dziadkowi zawsze daje się tylko grosz!

Tę anegdotę, jak i następne opowiedział mi pisarz i erudyta, znawca folkloru łaskiego Józef Maciej Kononowicz.

Na początku naszego wieku zasłynął w Łasku Zygmunt Radzik, późniejszy Naczelnik Kasy Skarbowej, a w latach 1909—1913 kasjer tej kasy. Był Radzik typem starego szlachetnego o cechach dobrodusznego filozofa i kawalarza jednocześnie. Kpiarz, błagier i szyderca, potrafił z niezamąconą powagą opowiadać o najbardziej nieprawdopodobnych zdarzeniach wprawiając słuchaczy w zachwyt, zdumienie i podziw. Pewnego razu opowiadał o niezbyt udanym polowaniu, na którym żaden z myśliwych ani razu nie wystrzelił. Z rozpaczcy towarzystwo zapilo u jakiegoś chłopca i późną nocą rozeszli się do domów. Radzik musiał iść przez las piotrkowski, ciągnący się aż do samego miasta. Nagle na drzewie ujrzał dwoje świecących się oczu. Zmierzył się, lecz pomyślał, że jeśli to ryś, szkoda byłoby dziurawić piękne futro, a jeśli to sowa, to on, myśliwy, za nie nie strzelił ptakowi w otwarte oczy. Postanowił tedy zająć ptaka

od tyłu. Lecz jak się nie kręcił, tajemnicze oczy siedziały go nieustannie. Radzik obszedł drzewo kilkakrotnie w kółko, aż oczy zgasty i coś spadło na ziemię. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że to głowa olbrzymiej sowy, która po prostu ukryła się sama obracając się za nim.

Ten sam Radzik znalazł się pewnego razu na targu. Widząc kobiety sprzedające jaja, podchodził i pytał po ile sztuka. A dowiedziawszy się, że po kopiejce, zatrzymał się przed najbardziej chytrą, wziął jedno jajko, rozbił je i wyciągnął ze środka, na oczach pozostałych kobiet, rubla. Ze śmiertelną powagą wziął drugie i znowu wyjął rubla, płacąc za każde rozbite kopiejke.

— Biorę wszystkie! — zdecydował się.

Kobieta jednak nagle rezygnuje ze sprzedaży, przykrywa kosz chustką i biegnie do najbliższej bramy, gdzie zaczyna rozbić kolejno jajka szukając ukrytych rubli.

Łask stynał niegdyś z tegich pijaków, co zresztą pozostało do dziś, ale najwięcej pili rzemieślnicy, jako że te zawody przynosiły dość pokaźne dochody. Zazwyczaj picie rozpoczynało się w sobotnie popołudnie, a kończyło się w poniedziałek wieczorem. W latach 1906—1908 proboszczem parafii w Łasku był kanonik honorowy kaliski ks. Ro-

man Wiśniewski, który usiłował walczyć z pijaństwem i rozpustą, nawołując przy każdej nadarzającej się okazji wiernych do wstrzeźliwości i opamiętania się. Oto co notują ówczesne kroniki. W czasie kazania ks. Wiśniewski w takich słowach zwrócił się do zebranych w kościele: „Słuchajcie mnie zebrani tu krawczy, szwercy, stolarze i garbarze! Jestem stary i niedługo stanę przed obliczem mego Pana Boga, a On zapyta mnie: Ażaliż sam przyszedłeś do Nieba? A gdzie są twoje owieczki, pasterzu? A ja wtedy odpowiem: Panie Boże Wszchemogący, nie miałem ci ja w Łasku owieczek, jeno same świni!”

— Ale były zdarzenia niosące poważne następstwa, jak choćby to, które zdarzyło się we wsi Rypultowice, powiat łaski. Przybył tu po kilkuletnim pobycie w Ameryce pewien gospodarz. Jego reakcja na pewne zjawiska była niezwykła i wywołała popioch w okolicy. Oto bowiem, któregoś dnia, gdy ujrzał zbliżającą się do jego domu gromadkę ludzi, wyskoczył i bez uprzedzenia otworzył ogień z colta. Aresztowany, stanąwszy przed sądem powiatowym, który mieścił się wówczas w Pabianicach, tak się tłumaczył:

— Mieli równe szanse, ale ja byłem szybszy!

W czasie okupacji mieszkańcy

WITOLD KOWALSKI

DZIADKOWE KANAAN

MOTTO: Ziemia ta święta jest, tu cienie przodków moich

Dziadka mojego pamiętam dotąd... Mimo, że do elizejskich dawno emigrował krain. Zażywe było chłopisko! Taki sarmacki Colas Breugnon! Buraczkowy nos był wyraźnym wskaźnikiem, iż abstynencją nie grzeszył. Wąsy rude, poddymione obficie paloną w cybuchu marchorką, okopciały ze szczeniem a ich zakończenia z rozpaczą wpadły w zielony kolor palonych łęcin ziemniaczanych.

Miał zwyczaj pogwizdywać szczerze, choć okrutnie fałszywie, coś w rodzaju walca z uczy morderców. Sepelił przy tym fatalnie. Najlepszy był jednak dla dzieci, gdy zbliżał się krokiem wilka morską, kolychliwie a rytmicznie przekrzywając potężną głowę to w lewo, to na od-siebkę. Chudą była i niezasobną jego kieszeń, ale na lizaka dzieciątką wysypał.

Galicyjska nędza, choć piasek gryz — wygoniła go rychło z gminy Dzbanki, w której ujrzał był światło dnia, w roku pańskim 1871. Chłopska to doła, zwyczajna, wezelek wziął w garść, chleba pajdę i hajda.

Osadził się na bruku Łodzi. Tak awans społeczny! Koń był zwierzęciem, którego duszę dziadek rozumiał naprawdę. Uduje się Andrzejowi zostać chłopcem stajennym, a później nawet opłety w liberię „kuczerem” u któregoś z łódzkich królików. Ale ciekawość świata sprawiła, że choć niby grzeszny, a w rzeczywistości diablo rogaty ścichapek — dziadek nie zamierzał długo jeść chleba z cudzej ręki. Urzekła go Łódź. Tamta Łódź, która odeszła. Zaczarowały go „długachne ulice” i fabryki... To była jego kraina obiecana, Kanaan młodzieńca, który za cały majątek miał dwie duże jak mi-chy a sekate jak gałęzie dłonie.

Z kozła fabrycznego wolantu przesadzono go wkrótce znowu na bruk. Był zbyt hyrny i pazerny; a kiedy któregoś dnia skul morderę fagasowi chlebobawcy, czyniąc to wolno, metodycznie, po gospo-darsku zajadłe tłukąc fizjonomię lokaja, miara się przebrała! Lokaj długo pichiał się obolaly. Dziadek huncnot został spieszony na amen. Na wieś wrócić nie chciał, bo to dyshonor, może zresztą już nie umiał wyrzec się nowego losu. Mniej naiwny niż prusowski Michałko wzrastał w Łodzi...

Ze starej cegielni Zeglina, za torami, gdzie ciepły kąk na piecu do wypalania cegły pozwolili mu zimną zajmować strycharze; z łak nad — już wtedy śmierdzą-cą Jasienią, od Nowych Sądów, ciągnących się, aż po Retkinję i Lublinek, gdzie latem łódzkie „antki” niejedną flachę siwuchy obciągnęły, gdzie wieczorną porą cicha, niejedna gnosta być nią przestała; przez gliniaste bezdroża Kątnej, czy Obywatelskiej, włókił się dziadek ku miastu!

Mijał chałupę Szancenbacha, co jak rachityczne staruchy przysiadły u rowu, dając przytulisko trzeciordernym lupanarom. Spotykał ludzi o barwie twarzy popielisto szarej, których nie stać było na chleb, ale którzy upijali się denaturatem. Później z Kaliskiego Foksalu — przez ulicę Miłszą, pogadawczy z byłym kumplem, konduktorem konnej „piątki” paradował tramwajem z czerwoną tablicą i takimiż latarniami. Naj-cześniejszą ładował w finale takich eskapad, aż na Pietrynie.

Tęgo lało się piwo w Meisterhausie. Spaśne Niemczury, szerokie tępage bawarskie i saksońskie weby i farbenmajstry. Różne Szulce i Wiznery. Szneje i Szery, buszujący w nowym vaterlandzie, raz po raz folgowały sobie pstrząc uryną wesołe plany na zielonych sztachetach, okalających budynek od strony Przejazdu. Pastelowo blade, smutne kobiety — kwiaty z strzeżonych fortun i fabrykanckich pałaców, mknęły otwartymi kabrioletami. kłamar czyniąc srogi na drewnianych klepkach Pryncypalnej ulicy; od cukierni Piątkowskiego i Esplanady aż po Helenów. Pierwsze samochody, ucieleśnie autofo-

bilami zwane, a w nich przelewa-jące się brzuszyśka Królów i Królików.

„Sam Oskar Kon
Na spacer jechał on...”

Jak głosił podwórkowy szmonces, ułożony przez żydłaczących katar-niarzy, tych lordów ze stu-dziennych podwórek.

Kariera Kona była inna niż mojego dziadka! Ten synek pod-rabinka, szames, ograbiwszy swych współplemieńców, skutecznie potem kiwał nawet rząd jego Ce-carskiej Wysokości, cara Rosji.

Szedł dziadek przez ten swój Kanaan i patrzył, patrzył... strzy-kając żółtą ślinę, jak z kaskady, przez szparę w zębach. A kiedy wieczorem zjadłszy za kopiejkę porcję flaków w herbaciarni u Żyda zwanego „Kokolobolo”, róg Wschodniej i Średniej, gdzie sam „Ślepy Maks” przewodził dintoj-rze — syty podązał ku Helenow-skim ogrodom, gdzie nowobogacka chewra, jak stado papug szwargocąc w przedziwnej mie-szaninie żydowskiego żargonu i lumpendeutschu rajcowała o ak-cjach.

Tam już wejść nie mógł! Nie jemu szumiły fontanny, nie dla niego po stawie pływali rząd o-świetlonych gondol. Cień — prze-chera kijem jak psa przepędził dziadka rycząc „Gaj weg a szajgec, miszugener”. Tak, był dla dozor-cy niespełna rozumu, żeby w ob-szarpanej kapocie, welwetowych zwiłchtanych portkach i butach z sznurkiem dowiązanymi pode-szwami, usiłował dojść do parka-nu.

Ten parkan to mury Jerycha! Długo wałęsał się dziadek An-drzej, ale nie rozpadł się na dźwięk jego zlorzeczonych. Nie taki dobry Bóg Jahwe, żeby jak nie-gdyś Izraelitom, dziś rozwałić chłopskiemu dziecku mur strze-gący wejścia do Eldorado.

Podniósł kamień, poleciały szy-by w letniej altance. Umknął. To był jego chamski protest. Chole-ro... krzyknął grożąc pięścią, że-bym miał zdechnąć... wejść tam kiedyś i to było jego vautrinow-skie credo, znaczące: weźmiemy się za łby, o miasto!

Aż na któregoś z eskapad poznał Józję Ochmanównę, łódzką pannę z ulicy Pańskiej. Józja była ob-fita, z biustem jak mleczne kon-wie i biodrzasta. Pachniało od niej na kilometr świeżym mle-kiem. Religijnie wychowana, choć córka pijaka. Ojciec jej zbyt wielki leń był, by pracować. Przepiwszy wszystko, pozostawił sobie dosłownie jeden przedmiot o wartości materialnej... mocny sznurek konopny ukradziony zresztą sklepikarzowi. Zbrzydliwszy sobie dokumentnie ten najbrud-niejszy ze światów, był laskaw powiesić się. Dokładnie i na amen! „Żeby choć zdechł jak człowiek!” — wzdychała moja babka, chlpiąc: „wszelako... niech mu ziemia lekka będzie — świec panie!” Inaczej niż mój pradziad, Szymon — o którym dziadek An-drzej, gdy był w euforii bachicznej, mówił, że umarł jak auten-tyczny Szymon z Cyrenejki — przywalony nie krzyżem wpraw-dzie, ale drzewem, w lesie, jako że trudnił się prostą a nobliwą pracą drwala.

Hajtnął się zatem dziadek An-drzej z Józją roku pańskiego 1889 Zaraz po ślubie spral kobietę — a jakże — aby jej wątroba nie gnła, chrześcijańskie miłosierdzie czyniąc. Zamieszkał na Widze-wo, na granicy dwóch światów. Między kamieniczo slumsową Niższą, a pełną gnojówki i błota Głęboką. Był tam plac. Taki dzi-wny plac. Najszacowniejszym sprzętem, walającym się po nim, był stary dziecinny wózek o trzech kołach. Jedno koło odłączywszy się gdzieś, zatraciło się w pomro-cie wózkowego istnienia. W kącie placu stał kibel. Jak na urago-wisko, w najwyższej centralnej jego części.

Oprócz naturalnej swej funkcji dawał niekiedy przytulisko sprag-nionym miłości a niewybrednym parom, którym w alkoholowym widzie, natarczywie chciało się

postawić kropkę nad i, folgując swym zadkom i instynktom! Funkcje mieszkalne spełniała drewniana szopa. W niej wyrko, „koza” zwana umownie piecem, trzy zbite z desek stolki i reszta mniej ważnych sprzętów. Takie było pierwsze niewytworne dziadkowe małżeńskie pied a ter-re.

Dostał teraz przez protekcję wspaniałe zajęcie w fabryce u Starych Francuzów, na Kątnej, gdzie w smrodzie siarkowych tlenków, w gryzących oparach po-tażu i sody, wybarwiał allartow-

skie perkaliki i kammgarny. Wte-dy wyciekł z niego ostatni zapas wiejskiego słońca i woni lasu. Tylko chłopskiej zażywności zaw-dzięczał, że przeszedł gruźlicę nie wiedząc... po której bliźny stwier-dzono dopiero po... sześćdziesięciu latach.

Nobliwie odmierzał godziny sta-ry zegar z rzymskimi cyframi, zawieszony w niebie, na wieży „niemieckiego kościoła św. Ma-teusza na rogu Czerwonej... A potem Milionową przez Księży Młyn, na Widzew.” Głęboka jest noc na Głębokiej. I dużo czasu w szopie.

Zapach mierzwy z pobliskich stajen emanował aż do izby; sio-ma na wyrku w szopie była miękka.

Andrzejowi i Józji została jedyna rozrywka nędzarzy. A majster był z Jędrka! Osem razy Bóg szczęścił w dziesięciu latach. Erazm, Eufemia, Eleonora, Moni-ka, Ewaryst, Bolek, Kazimierz i najmłodsza Helcia. Kto u Boga Ojca tym dzieciom nędzarzy po-stwarzał takie fikuśne imiona! Podejrzałem tu radzenie pana proboszczowe. Wyżyła tylko trój-ka najmłodszych. Gruźlica, która uprzednio nie dała rady ojcu, wykosiła dzieci, wycherlawszy je uprzednio.

A Łódź Scheiblerów i Zylber-sztajmów, jak polip rozrzuciła swoje macki coraz dalej i dalej. Ściśnięta gorsetem kolei, wylała się ku Chojnom, Rokiciu, Bala-tom, Widzewowi. Ochłapy kapita-listycznych okrucich spadły w łakomie nadstawione, bo głodne, kieszenie robotników od Gampego i Allarta.

Ręk dużo, roboty mało, chleba jeszcze mniej. Kozacka pała, rok 1905, uniwersum w kiciu na Gdań-skiej, gdzie kozacy nahajem wy-kładali praktykę rewolucji. Tam wiódł lumpenproletariacki szlak dziadka Andrzej i jego kamra-tów. Aż na Konstanytnowska, gdzie kamień w parku. Miejsce rozstrzelań bojowników!

A dziadek szedł powoli, w ka-pitalistycznym Kanaan. Za orga-nizację kolejnego strajku, wyleli dziadka z farbiarni. Próbował je-szcze w Pieprzorce, którą Krönig postawił na Kątnej, za torami, ale nie sprostał miastu. Lichy był z niego — okazuje się Vautrin! Choć życie równą komedią ludz-ką, los nie chciał cackać się z nim.

Dzieci rosły, pracy nie było. I przeszedł dziadek na wrogie po-zycje. Kraść nie chciał. Zdrobno-mieszczanin — jakby powiedzieli dzisiejsi rewolucyjni ultraortodok-si. O czasy!

Poszedł na bandos. Z siekierą i strugiem. Ludzie stawiali domy, którego on nie miał. Za parę gro-szy ciesiółka parać się zaczął. Hie obit urbanus; tak umarł w nim robotnik! Umarł z przymusu! Nie było pracy! Pomogły mu znów jego chłopskie ręce. „Żeby wyjść z rudery na Głębokiej gdzie pchły i gruźlica; żeby domeczek ma-lutki, żeby kurki...” — myślał!

Odezwał się w nim bukoliczny instynkt. Nie został proletariu-szem, choć zawsze był nim!!! Stoczył się dziadek na pozycje drobego cieśli. Takie casusu nie przewidzieli najtężsi ideologowie antyczni, średni i nowsi, którzy nie powiedzieli co żreć, gdy czło-wiek głodny. Skąd wziąć na ży-cie, gdy z fabryki wypieprzą na bruk! Tu zaczyna się mojra idąca z za węgla, głodowa śmierć dzieci.

Potem przyszła pierwsza świato-wa. Rok 1914 rozpalł w sercu Euro-py ognisty piec. W mieście głód; po ziemniaki babka z dziećmi pieszo chodziła aż pod Grabów i Łęczy-cę. Krwawa biegunka zbierała obfite żniwa. Ludzie żyli jarmu-żem i otrębami. Straszne to były czasy! Dokoła miasta rozrywają-ce się szrapnele i gromkie „ura” na przemian z „vorwaerts” mówi-ły o tragedii tej ziemi rozdartej, o którą zaczęły się śmiertelnie dwa orły czarne, a która przecież pozostała polska.

Po wojnie narodowe misteria. Jest Polska, jest ojczyzna! Ale nie dla swoich pasierbów — chło-pów! Bezrobocie carskie stało się polskie, rodzime! Znow budować zaczął dziadek domy. I popijał tężej niż zwykle. Miał już 50 lat i czuł się zwyciężony. Wypie-wał już swoją labędzą pieśń! Aż na dalekich Chojnach, na ulicy zwanej Pawią, może ze względu na pawiookie plamy na brudnej wodzie rowu, który przepływał jej środkiem, zaczęła powstawać łódzka nędzarska Szmulowizna. Umarł stary Kapuściak, sukceso-rowie po nim tanio sprzedali plac! Dom własny lecz z gliny i desek wystawił sobie Andrzej sam. Helcia wyszła za mąż. Zamieszkał „na kupie” ze starymi. Mijały lata.

Tam, w tym do dziś najmil-szym mi domu ujrzałem światło dnia! Dziadek był dobry. Często kupował mi figurki, jedną z nich nazywając nie wiadomo dlaczego Pulaski. Rosłem ja — robociar-skie dziecko, syn chłopki i pro-letariusza. Dziadek przeżył jeszcze drugą wojnę. Umarł w domu, gdzie się urodziłem, jako 83-letni starzec. Wydawało mu się w chwili śmierci, że chodził po nim krasnoludki w czerwonych cza-pczkach!

One uniosły jego skolataną du-szę. Może gdzieś znajdzie dziadka Kanaan, którego nie ma na zie-mi?

JANINA SYPNIEWSKA

Pamiętnik łagiewnicki

Słońce w lesie

Odłoty drzew wstrzymane.
Ruch zastyl w odchyleniach pní. Drgają korony jak uwięzione strzały i trwa poranny niepokój liści —
rozdmuchane, podświetlone obtańcowują trzony buków i grabów.
Dołem na trawach tu płama, tam płama — złota rozpryski.

MARIA CZARNOCKA

Lustro zmyśleń

Z błysków słońca warkocz spleta zapatrzona w Lustro Zmyśleń marzy — jaką twarz należyc na rysunek smukłych ramion Złotym pasmem puścić długi? czy skręcony ścież nad czołem ubrać w reifile zgarnąć struny...
Niech zaplonie świec labirynt...
Dojść z nim razem na skraj lustra — dalej świat bez barwy żadnej
Lalki krzywią głupie główki miś dzieciństwa zakurzony i obrazki z aniołkami nie prowadzą w sny spokoju

JAN JUSZCZYK

Powrót

Tam sercem niwy kolysał bijący południa dzwon, tam bydlę wracało z pastwisk.

Tam ja pośrodku traw z ojcem w czystej przestrzeni przyglądałem się zbożom i ptakom.

Tam ja zasiedziały na ziemi i niebie jak mój stuletni dziad.

uczyłem się pieśni pólnych na co dzień żyjąc chlebem powszednim.



DLA ILONY

Rys. E. Ingot



DLA MIŁOSNIKÓW WITKIEWICZA

Nakładem Ossolineum ukazała się ostatnio niewielka książeczka...

B. M.

Stanisław Witkiewicz „O sztuce, krytyce artystycznej, stylu zakopiańskim...”

Bohata i różnorodna twórczość literacka Mariana Piechala...

Ostatnimi czasy książki Piechala poprzedzane bywają słowem odautorskim...

ci się całkowicie w tradycyjnych koncepcjach satyry...

beźmyślnie schematy postępowania. Centralne miejsce zajmuje w nich człowiek...

brzych, przemawiających głosem ścisłym, świeżym humorem, błyskotliwym dowcipem...

REGINA LUBAS

MARIANA PIECHALA „SOKRATES, INDIK I ŻOŁĄDEK”

w skłonnościach klasykistycznych Piechala, ale i w istocie tego obszaru literatury...

nie róbcie z dziećmi naiwnych! (W sprawie bociana) „Ja jestem cyfrą — a on zerem” (Różnice)...

Piechal przemawia ustami wychowawcy — racjonalisty, bezwzględnego zola-kierka, poety — trybuna...



Przeszłość i teraźniejszość

Czy rzeczywiście problematyka, którą skrótowo nazywano martyrologiczną...

cyjną, to czy zadaliśmy sobie pytanie, o ile jest on funkcją rzeczywistych przemian...

nia i na ogół wiemy już coś niecoś o tamtych czasach. Tym bardziej oczekujemy od współczesnego piśmiennictwa...

1943 r., „jedna z największych i najbardziej znanych akcji zbrojnych jakie przedzieliła Warszawa”...

Nie tylko akcja pod Arsenalem

ważnych publikacji, jakie trafiają do naszej ręki. Warszawski historyk Tomasz STRZEMBOSZ...

stał niezliczoną ilość szczegółów, doszedł do uogólniających wniosków. Od października 1939 do końca lipca 1944...

Jakie było ich znaczenie? Trudno zaprzeczyć zdaniu historyka, że ocalenie około 200 Polaków...

Ale była to przecież kropla wielkiej wagi. „Przy takim nasileniu terroru, przy tak silnym skrupowaniu miasta...”

JÓZEF GRZELAK

Czyżby zmarnowana inicjatywa?

Jak często w prasie i czasopiśmie znajdujemy zarzuty i żale, że w Polsce powiatowej brak inicjatyw, by własnymi siłami rozwijać badania regionalne, a poprzez ujawnianie lokalnych tradycji rozbudzać miłość i przywiązanie do rodzinnej gromady, czy powiatu, pokazywać zapomniane okrucy przeszłości.

„Rocznik Łódzki”, choć walczący z trudnościami finansowymi, umożliwił, z konieczności w nader ograniczonych rozmiarach, publikowanie niektórych prac pracowników kultury i oświaty z terenów województwa, lecz stanowił to przysłowiową kropkę w morzu możliwości i potrzeb.

Ciekawa i potrzebna inicjatywa zrodziła się jeszcze we wrześniu 1968 roku na międzypowiatowym zebraniu działaczy kultury i oświaty w Wieluniu. Postanowiono wówczas powołać Międzypowiatowy Ośrodek Badań Regionalnych Ziem nad Górną Prosną. Już wcześniej z inicjatywy Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich doszło do współpracy między powiatami leżącymi nad Górną Prosną.

Okazało się, że wiele, nawet bardzo wiele z przeszłości i teraźniejszości łączy mieszkańców powiatów wieluńskiego, warszawskiego, kępińskiego, kluczborskiego, ostrzeszowskiego i oleśńskiego. Ujawniło się istnienie mikroregionu na styku trzech województw: łódzkiego, poznańskiego i opolskiego, których mieszkańcy potrafili wspólnie budować drogi i mosty, wspólnie rozwiązywać problemy ekonomiczne i oświatowe. Rozbudzenie zamilowań historycznych i poznanie przeszłości tego mikroregionu stanowiło bodziec dodatkowy i konieczne uzupełnienie już prowadzonych prac.

Postawiono sobie wówczas ambitny cel: „wydobyć i ocalić przed zapomnieniem historyczne tradycje, które łączyły ludność naszego regionu w przeszłości w celu unocznienia i, zaktualizowania dawnych więzi politycznych, ekonomicznych i kulturalnych”. Uchwały nie pozostały na papierze. Znalazło się grono „entu-

zjastów”, które przystąpiło do pracy. Ambicją zespołu było wydawanie regionalnego rocznika. Lecz zanim rozkręcono własne badania, prowadzono szeroką akcję popularyzowania tradycji.

16 maja 1969 r. w Wieluniu odbyła się sesja poświęcona tradycjom polskości w nadgranicznych powiatach, wtłoczonych jako część Śląska w ramy państwa niemieckiego. Następną sesją — 25 stycznia 1970 r. poświęconą była 25 rocznicy wyzwolenia Byczyny. W kwietniu 1971 r. nowa sesja, omawiająca udział regionu w powstaniach śląskich. Uwytkowano wówczas pomoc Łodzi dla III powstania śląskiego, jak i udział mieszkańców ziemi wieluńskiej w walkach o zjednoczenie Śląska z macierzą.

W tym czasie w tece redakcyjnej rocznika „Nad Górną Prosną” leżał już okazały zasób nader ciekawych materiałów. Do współpracy pozyskano znanych naukowców Łodzi (prof. K. Jażdżewski, doc. R. Rosin), a równocześnie rozporządzano własnymi pracami, pisanymi przez członków „Ośrodka Badań Regionalnych Ziem nad Górną Prosną”.

Rozpoczęła się więc walka o skromne fundusze na publikację rocznika. Ambicje pozostawały, możliwość ich realizacji malała. Wreszcie z zasiłku Rad Narodowych w Kluczborku i Oleśnie przy życzliwości Instytutu Śląskiego w Opolu ukazał się w 1972 r. powielony rocznik w nakładzie 350 egz. i objętości 98 stron. Znaczna część ciekawych materiałów pozostała w tece redakcyjnej.

W publikacji zamieszczono następujące artykuły: prof. dr K. Jażdżewski: Górną Prosną jako czynnik łączący i dzielący w dziejach osadnictwa; doc. dr R. Rosin: Związki historyczne ziem nad Górną Prosną; F. Hawranek: Dokumenty współpracy; T. Olejnik: Zbrodnie Werhmachtu na ludności cywilnej powiatu wieluńskiego; Z. Polak: W obronie ojczystej ziemi (działania wojenne na ziemi wieluńskiej w 1939 r.); J. Milczarek: Materiały do dziejów ziemi wieluńskiej. Bogata Kronika Międzypowiat-

wego Ośrodka Badań Regionalnych zamyka interesującą całość.

Tematyka zamieszczonych prac pomimo regionalnego charakteru uwypukla momenty ważne w przekroju historii ogólnonarodowej (osadnictwo na pograniczu oderwanego Śląska i macierzy; związki międzyzaborowe, kampania wrześniowa).

Niestety w uzupełnieniu informacji o ciekawej, potrzebnej i udanej inicjatywie regionalnej muszę przytoczyć wyjątek z listu do mnie od zasłużonego badacza i propagatora przeszłości ziemi wieluńskiej, mgr Tadeusza Olejnika:

„...niestety, brak jakiegokolwiek poparcia i zainteresowania ze strony zarówno władz lokalnych jak i wojewódzkich zmusza nas do rozwiązania „Ośrodka badań regionalnych”.

Pomimo tego pesymistycznego stwierdzenia nie uważam, by stanowiło ono przysłowiową kropkę nad „i”.

Działalność publikacyjna stanowiła tylko jeden z nurtów działalności „Ośrodka”. Organizowanie sesji popularnonaukowych, praca z młodzieżą, akcja odczytowa — były bardziej znane wśród społeczeństwa, niż przygotowywana do druku publikacja. Zresztą w dziedzinie wydawniczej postulaty inicjatorów były nader skromne. Wydanie powieści, nie tak już bardzo kosztowne zadowalało ambicję, stawało się „trwałym śladem” nieraz żmudnych i czasochłonnych badań. A jednak w budżetach kilku rad powiatowych zabrakło na ten cel skromnej pozycji finansowej. A może zabrakło dobrych chęci?

Uchwały VI Zjazdu PZPR zapaliły zielone światło dla inicjatyw oddolnych nie tylko w zakresie ekonomiki kraju, ale także i w dziedzinie nauki, oświaty i kultury.

Być może, że to zielone światło nie jest dostrzegane przez niektórych powiatowe czynniki decydujące. Lecz przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Łodzi działa wszak Rada Naukowa. Apelują więc do jej Przewodniczącego Profesora Doktora Tadeusza Olszewskiego, by na wokandyje spraw bieżących postawił także sprawę pomocy dla Międzypowiatowego Ośrodka Badań Regionalnych Ziem nad Górną Prosną; by rozwijając „ekonomikę” naszego województwa dać możliwość także kształtowania i upowszechniania wartości humanistycznych, tak ważnych dla kształtowania postawy świadomego obywatela.

Wydała mi się, że w tym wypadku łódzka inicjatywa może okazać się zaraźliwa także dla Rad Naukowych Opoła i Poznania, a w konsekwencji uzewnętrzniona już integracja wysiłków „entuzjastów” ziem nad Górną Prosną odegra poważną rolę wychowawczą. Wszak poprzez rozbudzenie zdrowego, lokalnego patriotyzmu, rozwijamy równocześnie patriotyzm ogólnonarodowy.

Kolorowe domy Mołdawii

Dalszy ciąg ze str. 5

nicę przystało i w ten chłód wnosią kilka gatunków wina na degustację. Wprawdzie — jak powiedziałem wyżej — wiosna to dopiero, ale w beczkach dojrzewają wcześniejsze roczniki i dobra winnica ma się zawsze czym pochwalić. Jest jedna różnica między dawną a dzisiejszą produkcją wina. Dawniej, kiedy zebrano nabrzmiałe słodkim sokiem grona, ładne dziewczyny gniotły owoce nogami w kadziach i ten moment nie pozostawał bez wpływu, ani na przebieg uroczystości winobrania, ani na jakość wina. Wysoko kwalifikowani specjaliści twierdzą, że wino wyciskane nogami jest lepsze, bo — jeżeli dobrze pamiętam (tłumaczono mi to w czasie degustacji), maszyną rozgniatającą czasem nasiona, których cierpki smak może mieć niekorzystny wpływ na smak wina.

Zasiedliśmy więc w owej piwnicy, wniesiono baterię smukłych butelek, małe, wąskie szklane i szklane miskę, która zajęła środek stołu. O misce nie należy zapominać, bo — jak się zaraz okaże — stanowi ważny element uroczystości. Mistrz ceremonii strzelał przez chwilkę korkami, a następnie z jednej butelki nalał do każdej szklanki po troszeczkę, informując, że, to rocznik 1969. My Polacy, znawcy raczej innych napojów niż wina, próbowaliśmy trochę udawać, że się upajamy bukietem, że smakujemy, ale skończyło się staropolskim chłapięciami, jako że Polak za kolnierza nie wlewa. I oto konsternacja. Nasi gospodarze wzięli do ust po łyżeczku, umiejętnie napoilim zakończona wszystkich nerwów smakowych, a resztę wina wylali do owej miski. Więc następnych gatunków próbowaliśmy, zachowując się zgodnie z panują-

cymi w winnicach zasadami! Dopiero kiedyś ustalili, którym z prezentowanych gatunków zajmiemy się dokładniej miska okazała się zbędna. Nasza zaś aprobatą dla mołdawskiego wina rychło przerodziła się w chórnie wykonane „Sto lat” wraz ze wszystkimi dodatkami o gwieździe pomyślności i pice ulańskiej, gospodarze zaś zrewanżowali się własną pieśnią biesiadną, która wzbudziła nasz nieklamany zachwyt.

Istnieje powiedzenie: „Polak nie je; Polak zakąsa”. Rumuni również nie jedzą bez picia. Dania mięsne przeważnie z rusztu (Polak — „wrzuca na ruszt”), ale zaczynają czasem taki posiłek z winem od bardzo smaczkowej potrawy, jaką jest ostry ser owczy z młoda cebulą. Dobrze jest tę potrawę zjeść pod kieliszek cujki, czyli mocnej śliwownicy, ale wino jest tam w powszechnym estymie, a nie cujka. Kuchnia rumuńska jest bogata. W restauracji „Pod trzema gołąbkami” obok Jass podają właśnie to, co i my nazywamy gołąbkami. Ale tamte są znacznie mniejsze, zawijane w liść winogrona, bardzo pikantne i opowiadają się o nich pikantne anegdoty. Bardzo niezwykłą potrawą są naleśniki zwane „clepite”. Mają farsz ze słodkiego sera z pietruszką. Kelner przynosi je na tacy w błękitnym płomieniu palącego się spirytusu i zręcznym ruchem ręki uzbrojonej w widelec i łyżkę zrzuca taki palący się przysmak na talerz ospiałego Sarmaty.

Potrawę taką jadłem w mieście Braszow, w restauracji zwanej „Cerbul Carpantin” czyli „Pod Karpackim Jeleniem”. Braszow to dwustutysieczne miasto, leżące na płaskowzgórzu siedmiogrodzkim, uroczu właśnie pomiędzy góry. Na jedną z nich można wjechać kolejką, a rozciga się stamtąd widok niezwykle — zarówno na mozaikę ceramicznych dachów Braszowa, jak i na Karpaty w ogóle. Zresztą — 15 km stamtąd do miejscowości zwanej Poiana Braszowa, uroczaj wiosną, a stanowiącej raj dla narciarzy w innej porze roku. Otóż te Karpaty, o'czajające miasto zewsząd znalazły się w nazwie restauracji, sklepionej jak owa piwnica w Bucium, kołyszącej się w migotliwym blasku świec i oparze wina.

Recepta na oczarowanie turysty wcale nie jest trudna. Ściąga się go do lokalu urządzonego przytulnie, a w osiągnięciu tej przytulności bardzo pomagają świece. Daje mu się coś do picia, dużo muzyki, ruchu, tańca i kolorowych strojów. Turyści



FRAGMENT STAREGO MIASTA

Fot. K. W. Reśniak

WACŁAW PAWLAK

Rynek stary jak Łódź

Urokliwy plac, z trzech stron obudowany piętrowymi domami o arkadowych podcieniach, z pomnikiem Juliana Marchlewskiego na tle arkad i zieleni, z gruchającymi gołębiaми i kojącą ciszą zaulka, w niczym już nie przypomina dawnego pełnego gwaru i ruchliwości rynku Starego Miasta. Zniszczenia ostatniej wojny zatępiły całkowicie pierwotny wygląd tego placu, a jedyny ślad dawności zachował się w jego czworobocznym ukształtowaniu z wylotami ulic w narożnikach.

Rynek ten jest stary jak Łódź. W akcie erekcyjnym sporządzonym w Przedborzu w 1423 roku, którym król Władysław Jagiełło nadawał Łodzi prawa miejskie, znajdujemy następujący fragment: „I aby samo miasto Łódź tym lepiej i szybciej chciało się osadzać i w wielką liczbę ludności wzrastać, targ tygodniowy w każdą środę i roczny dwa razy do roku, mianowicie nazajutrz po Bożym Ciele i nazajutrz

po Wniebowstąpieniu św. Marii Dziewicy Chwałebnej kładziemy i ustanawiamy”. Z przytoczonego fragmentu jasno wynika, że skoro Łódź otrzymała zezwolenie na targ, musiała już wtedy posiadać rynek.

Istnieje hipoteza, że najstarszy rynek łódzki powstał z rozszerzonego traktu łączącego piotrkowskiego. Pierwotnie musiał on być znacznie większy niż obecnie i zapewne obejmował także dzisiejszy plac Kościelny. Kształt jego był prostokątny, albowiem gdy proklamowano wyroki, to ogłaszano je „na czterech rogach rynku”.

Dokoła rynku stały drewniane, parterowe budynki, przeważnie kryte strzechą, rzadziej zaś gontami. Na zapięciu domów mieszkalnych znajdowały się zabudowania gospodarcze i ogrody. Obrazu rynku dopełniały studnie publiczne z wysokimi dragami żurawii.

Przedmiotem handlu na rynku łódzkim był dość szeroki asortyment towarów.

Wieś podłódzka dostarczała miastu przede wszystkim produktów rolnych, głównie zaś zboża i bydła, a ponadto surowców dla rzemiosła jak drzewo, skóry, wełna i len. Z miasta do wsi kierowano wyroby miejscowych rzemieślników: narzędzia żelazne, wyroby kołodziejskie i t.d. W grę wchodziły również takie towary, jak sól, ryby, piwo, świece.

Na jarmarkach dochodziło niekiedy do burd i awantur, wywołanych przez pijanych osobników. Łódź nie posiadała straży miejskiej, toteż wybryki te uchodziły im płazem. Podczas jarmarku w 1636 roku gromada podpiitych chłopów z Modrzewia, Skotnik i Łagiewnik wtargnęła na rynek, rzuciła się na kramarzy, poraniła ich, zniszczyła im towary, wypila trunki i uszła bezkarnie z miasta.

W rynku łódzkim stał niegdyś drewniany ratusz, ale uległ on zniszczeniu w niewiadomych okolicznościach. Na prośbę mieszczan, skierowaną w 1561 roku do opieku-

PIĄTY SEZON

lubią rzeczy osobliwe. A więc „Pod Karpackim Jeleniem” tych osobliwości — jak widać — jest mnóstwo. „Pod trzema gołąbkami” wabią owe gołąbki i związane z nimi legendy. W Bukareszcie idzie się na piwo do „Caru cu bere”, czyli do „Wozu z piwem”. — I szczerze mówiąc — nie są to wszystko lokale zbyt stare, ale otoczono je legendą i dlatego na pytanie: „gdzieby tu iść na piwo”, od razu mają gotową odpowiedź, zaprawioną przekonaniem, że nie byle gdzie, ale właśnie tam. A zapytaj o miejsce napicia się lub najedzenia w Łodzi, to się podrapią po głowie i poradzą iść do lokalu kategorii S w obawie, byś nie trafił do spelunki. No więc pójdiesz do nijkajego lokalu kategorii S, gdzie znajdziesz jadłospis taki sam, jak we wszystkich innych restauracjach, wszystkich innych kategoriach, różnica będzie w cenie. A jedną z tych potraw zatwierdzonych w recepturze odpowiedzialnego ministerstwa napiszą na pierwszym miejscu i powiedzą, że to specjalność.

Piszę o tym z przekąsem, bo wszystkie kraje dookoła nas nastawiają się na turystykę i turystyka stanowi dla nich business, a nam to przychodzi z takimi trudnościami. Przecież pomimo, że pobyt w Rumunii wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie, pomimo że przy następnej tam bytności odwiedzę „Karpackiego Jelenia” i pokaże go innym, z tą sobie przecież sprawę, że ów folklor, jaki nam pokazano był na takim poziomie artystycznym, że każdy polski przyzakładowy Dom Kultury zrobi nie gorzej, że nasz folklor wcale nie jest mniej barwny od rumuńskiego, ale Rumuni włączyli te rzeczy w ramy działalności gospodarczej i to procentuje. Przyszło mi to wszystko do głowy, gdy przez małą estradkę lokalu przewijały się zespoły taneczne. Więc drwale z Bukowiny, z tej samej, co to: „Pasala wolki na Bukowinie...”. Więc rolnicy z Siedmiogrodu (kazali przypomnieć sobie Stefana Batorego). Więc piosenki i tańce wołoskie (czy to nie pan Wołodyjowski wodził chorągiew Wołoską?) I cały szereg innych, ale bo to człowiek wszystkie pamięta, skoro to wino naprawdę, smakuje, dolewają, a w chwili wątpliwości ktoś szepnie do ucha powiedzonko rumuńskie: „Lepiej pijany pod łóżkiem, niż chory na łóżku”.

I czy nie ma racji?

JERZY URBANKIEWICZ

Rozpoczęły się wakacje, zakończył się sezon teatralny. Także sezon w Teatrze Wielkim, choć w tej chwili jego zespoły nie próżnują. Ponad 300-osobowa grupa artystów Teatru Wielkiego przebywa w Finlandii, gdzie w malowniczym mieście Savonlinna odbywa się Festiwal Operowy. Łodzianie prezentują tam „Tragedyję o Janie i Herodzie” Twardowskiego, „Balety Polskie” i „Rigoletto” Verdiego. W tym ostatnim przedstawieniu wystąpią soliści fińscy. Jest to trzeci na przestrzeni roku wyjazd naszej sceny operowej za granicę, po występach w Lublanie i Lipsku. W piątym, jubileuszowym roku istnienia Teatru Wielkiego.

Ten piąty, jubileuszowy sezon dostarczył melomanom łódzkim dużych emocji. Były to wydarzenia wielkiej miary artystycznej, były i dyskusyjne, bardzo kontrowersyjne, w każdym razie niewiele było letnich, nie budzących żywej reakcji. A to już jest bardzo dobrze. Przypomnijmy pokrótce premiery tego sezonu. A więc na otwarcie „Białowłosa” Henryka Czyży, dalej „Madame Butterfly” Pucciniego, następnie „Henryk VI na łowach” Kurpińskiego-Bogusławskiego, „Człowiek z La Mancy” Leigha, „Wieczór Baletowy” i na zakończenie sezo-

nu „Legenda Gruzińska” Pallasz-wilego. Sześć pozycji, w tym dwa musicale, jedna opera klasyczna... ten system klasyfikowania nie mówi właściwie niczego. Wydaje mi się, że najcenniejsze w dorobku artystycznym minionego sezonu Teatru Wielkiego jest to, że wzbogacił polski operowy stan posiadania o dwie zupełnie nowe pozycje: operę, której nie było: „Henryk VI na łowach”, a która powstała dzięki inicjatywie Teatru oraz o przetłumaczonej na język polski „Legendę Gruzińską”. Czy sześć premier w sezonie to dużo czy mało? Zdaniem kierownictwa Teatru liczba ta niewiele już może wzrosnąć, ale mówiąc o możliwościach większych, ma się zapewne na myśli premiery baletowe przede wszystkim. Jedna w sezonie to z pewnością za mało.

I jeśli już jesteśmy przy liczbach, to może jeszcze jedna. Bieżący repertuar Teatru Wielkiego w tym sezonie wynosił 18 pozycji. I znów — dużo to czy mało? Prasa centralna, krytykując działalność warszawskiej placówki operowej, zarzuca jej między innymi zbyt małą ilość pozycji w repertuarze bieżącym. A za przykład stawia się operę budapeszteńską, która ma podobno w repertuarze bieżącym 80 tytułów, czeskie Narodne Divadlo — około 130 i operę w Hamburgu — 73 tytuły. Nie wiem na ile są to liczby sprawdzone, jeśli są, to przede wszystkim należy podziwiać możliwości techniczne tych teatrów. Magazyny Teatru Wielkiego w Łodzi te znajdujące się na miejscu i te poza miastem, mieszczą dekoracje, kostiumy i rekwizyty najwyżej dla 14—16 oper, 18 pozycji, to już w magazynach warunki nie odpowiadające przepisom przeciwpożarowym i bhp.

Od trzech lat dyrekcja ma obojętnie uzyskania budynku-palacyku przy ul. Jaracza 45, od trzech lat jednak sprawa ta nie znajduje ostatecznego rozwiązania. A jest to sprawa paląca, Teatr chce przenieść tam kilka pracowni i ich magazyny, znaleźć miejsce na pomieszczenia socjalne jak np. świetlica dla młodzieży koła ZMS przy teatrze i locum dla kursu, o którym później. Na zapleczu budynku teatralnego panuje ciasnota, nie mają swoich pokojów dyrygenci, nie mają ich reżyserzy. Przeniesienie pracowni do palacyku rozwiązałoby tę kwestię.

Sprawa magazynów — jeśli jesteśmy już przy tym temacie —



na Łodzi, biskupa Jakuba Uchańskiego, zezwolił on na budowę nowego ratusza wraz z jatkami, zaznaczając, że mieszkaniem będzie wolno „wymieniać towary i jakiegokolwiek rzeczy, i zwłaszcza sól młec, rupiecie, garnki, obowie i różne inne rzeczy w wyżej rzeczonym ratuszu i kolo ratusza sprzedawać i targować stale”. Dopiero jednak po 24 latach od wydania owego przywileju przystąpiono do budowy ratusza. Burmistrz łódzki, Mikołaj Kasprzyk, zawarł w tej sprawie umowę z zamożnym mieszczaninem Maciejem Doczekalowiczem, w której tenże zobowiązał się własnym kosztem pobudować ratusz „środek rynku”, przy czym na dole ratusza miały znaleźć pomieszczenie karczmarskie, zajazd i stajnia, a na górę mała izba, przeznaczona dla urzędu miejskiego. Mieszczanie zaś podjęli się wystawić obok ratusza „wieżycę cudną”. W umowie zawarowano Doczekalowiczowi prawo „w ratuszu piwo szynkować łódzkie i wszelkie picie, wino i gorzałkę palic”. W 1689 roku ratusz nadal istniał, bo kiedy pewien mieszczanin skazany został na śmierć, to wyrok wykonano „na pół placu pod ratusza”.

Kolejna wiadomość o ratuszu łódzkim pochodzi z 1727 roku. Wówczas to władze miejskie wydzierżawiły grunt, aby za otrzymane pieniądze kupić gwoździ i gon-

tów na „pobicie” dachu ratusza. Jakże były jego dalsze losy, trudno dociec. W każdym razie urzędnik pruski, który w 1793 roku wypełniał drobiazgowy kwestionariusz statystyczny, dotyczący Łodzi, ratusza już nie wymienił. Z najstarszego rynku łódzkiego znikł ratusz, w którym miasto odbywały się pijańskie zabawy. Nie zniknęli wszakże poddani mieszczańscy, przenieśli się oni tylko do nowego zajazdu zbudowanego przez władze pruskie. Znajdował się on w północno-wschodnim narożniku rynku, u wylotu ulicy Kościelnej. Był to drewniany budynek, kryty gontem, z wieżą sosnową u wejścia, oznaczająca, że tutaj odbywa się wyszynk trunków. W karczmie tej przygrywał skrzypek „w czasie pozwolonym od kościoła Bożego”. Odbywały się tu również zabawy, wesela i inne uroczystości rodzinne. Karczmarz spełniał także na co dzień rolę sklepika, gdyż nabyć w niej można było śledzie, sól, świece i inne artykuły codziennego spożycia. Zajazd przy rynku przetrwał do 1838 roku, kiedy to z powodu grożącego zawalenia został zburzony. Wizytujący Łódź w 1820 roku prezes Komisji Województwa Mazowieckiego, Rajmund Rembelski, zwrócił uwagę na nieporządky panujące w rynku. Polecił on wówczas burmistrzowi, ażeby ze względu na odbywające się

tu jarmarki, rynek, dotąd pełen wybojów i nierówności „przewycie splantowanym został”.

Wyniesienie Łodzi do rządu miast fabrycznych otworzyło nową erę w dziejach najstarszego rynku łódzkiego. Znaczenie handlu w uprzemysławiającym się mieście doceniła ruchliwa ludność żydowska, która ruszyła ławą z okolicznych wsi i miasteczek do „ziemi obiecanej”. Wobec tego, że obowiązujące podówczas przepisy zabraniały Żydom osiedlenia się w nowo zakładanych osadach przemysłowych, ludność żydowska zalała Stare Miasto, a w szczególności rynek i sąsiadujące z nim uliczki. Od łódek staromiejskich Żydzi nabywali domy i place przy rynku, zakładając tu liczne sklepiki, kramy i drobne warszaty rękodzielnicze. Funkcje rolnicze Starego Rynku ustąpiły miejsca funkcjom rzemieślniczo-handlowym. Związana z tym zmianą sposobu użytkowania nieruchomości, spowodowała ich przebudowę lub adaptację, zacierającą ich poprzedni kształt.

W 1841 roku Rynek Staromiejski został wybrukowany i otrzymał jatkę rzeźniczo-plekarniczą, zaprojektowaną przez słynnego architekta warszawskiego Henryka Marcconiego. Jatkę posiadały od przodu ozdobne arkady i kryte były blachą cynkową. Z o-

pisu miasta sporządzono w 1860 roku, dowiadujemy się, iż Stary Rynek był już wówczas wokół zabudowany domami murowanymi jedno i dwupiętrowymi o wąskich 3-4-okiennej fasadach. W rynku znajdował się Hotel Krakowski Augusta Dreslera i dom zajezdny Moszka Nogacza. Mieściła się tu także apteka, założona w 1858 roku przez Edwarda Ludwiga. Na poboczu placu stały dwie pompy drewniane, zupełnie już zepsute i nieczynne. W 1869 roku Rynek Staromiejski otrzymał 5 latarni gazowych.

Lata następne stały się trudniejsze. Przybyło ludności, namnożyło się sklepików i warsztatów, gnieźdzących się już nie tylko na parterach i w suterrenach, ale także w piętach i w głębi podwór. Część rynku zajęły drewniane budy, w których kupcyli swoim niedzłym towarem najubożsi kramarze. Sugestywny opis Starego Rynku z końca zeszłego stulecia dał nam Władysław Reymont w swojej „Ziemi obiecanej”.

„Na kwadratowym placu, obstawionym starymi, piętrowymi domami nigdy nie odnawianymi, pełnymi sklepów, szynków i tzw. „Bier-Hall”, zastawionym setkami szkaradnych bud i kramów, tłoczyło się kilkanaście tysięcy ludzi, setki wozów i koni; wszystko to krzycało, mówiło, kłęło, biło się czasami.

Przed sklepami, które były potwierane i pełne ludzi, wystawiano stopy, krzesła, lawki, na których leżały góry galanterii, pończoch, skarpetek, kwiatów sztucznych, perkaliнок sztywnych jak blachy, kolder o jaskrawych poszyciach, koronek bawelnianych. W jednym końcu rynku stały żółte, malowane lózka, komody, które się nie domykały i brązowym bejem udawały mahoń; lustra, w których by się nikt nie zobaczył, polyskiwały w słońcu, dalej kołyski, stopy sprzętów kuchennych, za którymi na ziemi na garstkach słomy siedziały kobiety wiejskie z masełm i mlekiem, ubrane w czerwone welniaki i zapaski... Garderobę męską sprzedawano, kupowano i przymierzano na ulicy, w sieniach, wreszcie pod ścianą, za zasłoną, która zwykle nie nie zastanawiała. Tak samo robotnicze przymierzali kaptany, fartuchy i spodnie.”

Handel miał tam swoje przyplawy i odpływy, ale wrzał nieustannie z wyjątkiem sobót i świąt żydowskich. Każdego piątku o zmierzchu Stary Rynek zapadał w głębokie uśpienie. Zamknięte stragany, zaryglowane drzwi i okna sklepów nadawały mu niemal uroczysty wygląd. Opustoszałym placem czasem tylko przemknęła postać w chalcie, dźwigająca z namaszczeniem nabożne księgi.

Osobliwy widok dawała niedziela. W niepodległej Polsce obowiązywały przepisy, zakazujące handlu w niedzielę. Mimo to Rynek Staromiejski w dniu tym był prawie tak samo zatłoczony jak w dzień powszedni. Wprawdzie wszystkie sklepy były zamknięte na klódkę, ale w sklepach tłoczno. Wszystkie szuby pozasłaniały, nie było w drzwiach ani jednego otworu, przez który by światło lampy wydostało się na ulicę. W jaki więc sposób klienci dostawali się do sklepów? Przed sklepami stali sprzedawcy w wyszczególnionych chałtach, zbrojni w klucze od klódek, a w miarę jak policjant zbliżał się lub oddalał, otwierali lub zamykali wejścia do sklepów. A policjant trzymał w ręku notes i ołówek, przygotowany do sporządzenia protokołu. Po co chować do kieszeni, kiedy protokoły pisało się jeden po drugim. Mimo wszystko, handel jednak nie ustawał.

Najruchliwsze targowisko łódzkie uległo likwidacji w latach międzywojennych, gdyż władze miejskie doszły do przekonania, że nie posiada ono odpowiednich warunków sanitarnych, a do tego utrudnia ruch uliczny. Targ przeniesiono na Bałucki Rynek, a na opróżnionym placu założono zieleńce.

Razem z targowiskiem na Starym Rynku znikł z powierzchni miasta zakątek bardzo charakterystyczny. czenie wytrawnego muzyka poświęcił Teatrowi Wielkiemu, przechodzi na emeryturę, lecz nie rozstaje się całkowicie z naszym teatrem. Będzie tu doradcą artystycznym i dyrygentem. Niewątpliwie wielkim sukcesem Teatru jest pozyskanie Kazimierza Dejmka na stanowisko stałego reżysera. Konkretnych planów repertuarowych na następny sezon jeszcze nie ujawniono, wiadomo tylko, że wznowiona zostanie w innej inscenizacji „Halka”, że wystąpi u nas gościnnie Opera Lipska z „Weselem Figara” i „Uprowadzeniem z Seraju” Mozarta oraz, że nasz teatr wyjedzie na występy do Duesseldorfu-Dortmundu.

Nie wyrażę myśli odkrywczej mówiąc, że za efektywnymi, błyskotliwymi osiągnięciami artystycznymi kryje się codzienna, żmudna i jakże ciężka nieraz praca. Ze dla przygotowania przyszłych sukcesów, czasem nawet w perspektywie wieloletniej myśleć trzeba o zapewnieniu warunków materialnych, i przede wszystkim, kadrowych. Bez mała 5-letnia działalność studium baletowego dała doskonałe rezultaty, jego adepci są już dziś tancerzami. Niestety, w dalszym ciągu dalsze losy tego studium nie są przesądzone, nie ma dalekiej decyzji Ministerstwa Kultury w sprawie statusu prawnego, nie można więc przeprowadzać naboru na rok następny.

Repertuar scen operowych coraz bardziej oddalający się od reguł statycznej opery klasycznej, grawitujący w kierunku uteatralnienia sceny operowej, stawia nowe zadania przed splewkami. I o tym piszemy już nie pierwszy raz. W Polsce istnieje jedna placówka, kształcąca takich wszechstronnych artystów, jest nią Teatr Muzyczny w Gdyni. Łódzki Teatr Wielki podjął inicjatywę otwarcia przy swojej scenie takiego właśnie, o podobnym charakterze, Studia Aktorsko-Wokalnego. Byłoby ono otwarte również dla młodzieży pracującej wszystkich zawodów, która nie mogła ukończyć studiów muzycznych, a posiada autentyczny talent wokalny. Nauka, obejmująca śpiew, taniec i aktorstwo dawałaby szansę szybkiego — jeszcze w trakcie nauki — oswojenia się ze sceną i sprawdzenia zdolności w praktyce. Pozytywne stanowisko w tej sprawie wyraził Zespół do spraw teatru i muzyki Min. Kultury, pozostaje kwestia podjęcia konkretnej decyzji i znalezienia mecenasa.

HENRYK SZUBERT

PIERWSZY DRUKARZ POLSKIEGO POCHODZENIA



Warsztat drukarski z XVI wieku

prozaków wysokiej klasy. Tu między innymi drukowali swe prace Jan Kochanowski, Andrzej Frycz Modrzewski z Woiborza, Stanisław Orzechowski, Stanisław Hozjusz i Marcin Kromer. Lazarz Andrysowicz wydawał też kalendarze (rubrycelle), zbiory praw miejskich i ulotne pieśni różnowiercze. Druki zbyt niebezpieczne ideologicznie tłoczył anonimowo.

Gdy Lazarz Andrysowicz zakończył w 1577 r. pracownię, drukarnię objął w posiadanie jego syn Jan Januszowski (1551-1613), który nazwisko swe uzyskał aktem nobilitacji, tj. nadania mu szlachectwa. Januszowski — wykształcony humanista, prawnik, pisarz, drukarz i wydawca, wyróżniony tytułem architypografa królewskiego, podjął próbę ustalenia polskiej ortografii, wprowadził oryginalną polską czcionkę i stosował w książkach ilustracje miedziorytnicą, umożliwiającą bardziej realistyczne odwzorowanie przedmiotów. Jan Januszowski pomagał w zakładaniu Drukarni Akademii Zamorskiej.

Stylna drukarnia, której właścicielem założycielem był pierwszy samodzielny drukarz narodowości polskiej — mieszkanin Lazarz Andrysowicz ze Strykowa rodem, przetrwała aż do 1648 r., czyli około 100 lat, zmieniając właścicieli, lecz zachowując nazwę Oficyna Lazarz lub Drukarnia Lazarzowa. Drukarnia ta, obok zasług, jakie położyła dla literatury i drukarstwa polskiego, przyczyniła się między innymi do upowszechnienia prawa. Wśród szeregu różnych druków, wydała ona w 1600 r. „Statuta, prawa i konstytucje koronne łacińskie i polskie” — cieszący się dużą popularnością i używany jeszcze w XVIII stuleciu zbiór ustaw, będący próbą kodyfikacji prawa polskiego.

O Drukarni Lazarzowej tak pisał w XIX wieku wybitny historyk polski — Joachim Lelewel: „Żadna podówczas drukarnia i w piękności i w liczbie wydrukowanych dzieł i w ich ogromie nie wyrównywała oficynie Lazarza. Ubiegając się może o wielką chwałę z najpierwszymi podówczas w Europie typografiami (drukarniami), tak co do piękności pisma, gustu, jakości papieru, jako też co do wielkiej poprawności i uczonych widoków (naukowych zamierzeń), które celniejszymi drukarniom podówczas obymy nie były”.

Na zakończenie warto dodać, że do zasłużonych drukarzy polskich XVI stulecia, pochodzących z dzisiejszej Ziemi Łódzkiej należą oprócz Lazarza Andrysowicza również Daniel z Łęczycy, działający w Pińczowie, Nieświeżu, Łasku i Wilnie oraz Cyprian Bazylisk z Siemradza, który był nie tylko drukarzem, ale także tłumaczem („przetłumaczył” na język polski napisane po łacinie dzieło Andrzeja Frycza Modrzewskiego pt. „O naprawie Rzeczypospolitej”) i jednym z najwybitniejszych naszych kompozytorów okresu Odrodzenia.

Z okazji Międzynarodowego Roku Książki warto przypomnieć działalność i dzieło pierwszego samodzielnego drukarza polskiego pochodzenia, świetnego specjalisty i jednego z pionierów drukarstwa w naszym kraju — Lazarza Andrysowicza, wywodzącego się ze Strykowa — niewielkiego miasta leżącego na terenie obecnego województwa łódzkiego.

Lazarz Andrysowicz nawiązywał do prac rozpoczętych przez drukarza Hieronima Wietora w 1546 r., drukarnię prowadził jego żona Barbara, zaś fachowe kierownictwo zakładu znajdowało się w rękach Lazarza Andrysowicza, wówczas czeladnika — drukarskiego. W 1550 r. ożenił się on z wdową po Hieronimie Wietorze, która zapisała mu cały majątek. Dawna oficyna drukarska Wietora otrzymała teraz nazwę Lazarzowa.

Zmiany, jakie zaszły w drukarni dotyczyły jednak nie tylko właściciela i nazwy, lecz obejmowały także szereg innych spraw. Przede wszystkim Lazarz Andrysowicz znacznie ją rozbudował, udoskonalił i wyposażał w nowe czcionki. W ten sposób nasz drukarz zapoczątkował na wielką skalę rozwój swojej oficyny, która stała się z czasem znaną, stojącym na europejskim poziomie zakładem. Była ona prowadzona tak znakomicie, że przewyższała wszystkie inne drukarnie polskie ilością wydawanych dzieł, jakością ich wykonania a głównie formą graficzną.

Jakkolwiek drzeworytnictwo polskie przeżywało swój rozkwit w pierwszej połowie XVI wieku, to także i później spotykamy doskonale jego wytwory właśnie w wydawnictwach Drukarni Lazarzowej. Warsztat Andrysowicza, drukujący wiele prac w języku polskim i łacinie, należał do najbardziej zasłużonych dla naszej literatury. Wraz z drukarnią Macieja Wierzbitego specjalizował się w edycjach poetów i

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Być dojrzałą kobietą i kochać matkę to godzić się ze słabościami tych, których się kocha, być dorosłym to umieć chodzić krętymi ścieżkami, które przecież nie zawsze wyprowadzają nas na zły drogę, a pozwalają też zachodzić w piękne okolice — oto ogólne sensy filmu Vittorio de Sety „ZAPROSZO. NA”. Podejrzewam, że moralność filmu zachęcającego do pogodzenia się z takimi prawdami życia nie wszyscy są w stanie zaaprobować nawet wtedy, gdy ich potwierdzenia widzi się wokół siebie. Słowo „wszyscy

właściwie należałoby zmienić na wszystkie, bo film de Sety jest filmem o kobietach, choć nie wiem czy tylko dla kobiet. O ile moralistyczne tezy w „Zaproszonej”, choć trudno im odmówić życiowej prawdy, mogą budzić niejako wątpliwość o tyle urody filmu nikt zapewne kwestionować nie będzie. Jego styl określa już pierwsze sceny, wprowadzające nas w opowieść pełną wycienlowanych analiz psychologicznych i obserwacji ludzkich zachowań. Vittorio de Sety, znany doku-

mentalista przedstawiając fabularną historię, wypełnia ją rzeczywistością bogatą właśnie w dokumentalne obserwacje, obejmując one tak sferę psychologicznych reakcji bohaterów jak i świat, który ich otacza. Sceneria, pejzaże i przedmioty nie pełnią w filmie de Sety funkcji ozdobińców, a łatwo o to było. Wszystko, co reżyser wprowadził do swego filmu, a więc: piękne pejzaże zimowej Francji, miłane wioski i miasteczka, kaplicę Le Corbusiera w Ronchamp, poszczególne epizody — na terenie wielkiej budowy, w plekarni małej wioski czy w pracowni rzeźbiarza w kamieniołomach stanowią nie tylko tło opowieści o zawlezionej miłości i powolnym przezwyciężaniu kryzysu młodzieńczej bohaterki, ale współuczestniczą w analizie owego procesu poznania samej siebie i świata, który jest wokół.

„Zaproszona” jest filmem pół-tonów i wyciszeń, delikatnej materii dalekich obrazów scenerii i przybliżeń psychologicznych, filmem łagodnego smutku i nieukrywanej miłości wobec ludzi i świata, miłości i zrozumienia, które smutek ten wyjaśniają. Znakomitymi partnerami wrażliwości de Sety, jego mistrzostwa w tworzeniach nastrojów i odtwarzania uczuć są mało u nas znana Joanna Shimkus i znakomity Michel Piccoli, najbardziej dziś wzięty aktor europejskiego kina. Wszystkim im zawdzięczamy film różny od stereotypowych, fabrykowanych opowieści miłosnych dzisiejszego kina.

Włosko-zachodniemieckohiszpańska (i) „Pokusa” w reżyserii Marco Vicario jest pierwszym na naszych ekranach filmem z serii tych, które pow-

stały na fali wzmógłonych dyskusji wokół celibatu księży. Dochodzą nas wieści o tym, iż temat ten stał się w Europie pretekstem dla bardzo wielu filmów, które w sposób mniej lub bardziej poważny sprawę tę podejmują. I my w dyskusji tej udział przezeń mamy, choć nie bardzo wiemy jaki, ponieważ zrealizowany we Włoszech film samego Jerzego Kawalerowicza „Magdalena” nie był jak dotąd u nas pokazywany.

Film Marco Vicario „Pokusa” jest typowym produktem mody tematu, dalekim od głębi głosu ważnego czy bulwersującego. Wykorzystano to co modne, by bawić, w sposób zresztą często bardzo niewybredny. Tak jak trudno byłoby traktować ten film jako ważny głos w dyskusji, tak samo trudno sądzić, by mógł on kogoś obrazić w jego uczuciach i postawach. Podobno nawet w samych Włoszech żadna z zainteresowanych stron przeciw filmowi nie protestowała, ot nieszkodliwa blahostka, której znaczenia nie ma co przeceniać.

Szaleje zatem na ekranie miły księżuło, a my razem z nim przeżywać mamy jego rozterki w rozerotyzowanym świecie, ku szacując go i zachęcającym do zrzucenia sutanny. Przeniesiony wolą biskupa z sycylijskiej wioski do Rzymu, trafia w sam środek dżumy wielkiego miasta, gdzie czyhają nań pokusy świata tego. Seks wdziera się nie tylko do konfesjonału Don Salvatore, ale i w jego sny i marzenia, a realizatorzy filmu czynią wszystko, by było to bardzo śmieszne. Film roi się od gagów i dowcipów, niestety, nie zawsze wyszukanych i strawnych.

„Pokusa” wprowadza na nasze ekrany najbardziej kasowego dziś we Włoszech komika

OBIEKTYW

MŁODOŚĆ I MŁODZIENCOŚĆ

Zapewne jest tak zawsze, każdego dnia i tygodnia, że na ekranie telewizyjnym spotykają się przedstawiciele wszystkich pokoleń. I nie w tym dziwnego, tym razem jednak spotkania z gośćmi prezentowanymi w TV uświadomiły mi jakoś różnice i więź — jednocześnie między tymi pokoleniami.

X Ogólnopolski Turniej Czytelniczy ZMS dla młodzieży do lat trzydziestu znalazł zakończenie w Teleturnieju Czytelniczym ZMS. Do walki o pierwsze miejsce przystąpiła czwórka finalistów. Teleturniej zaprezentował dobry poziom i usatysfakcjonował telewidzów łódzkich nie tylko dlatego, że pierwsze miejsce zajął nasz reprezentant. Teleturniej świadczył o dobrym przygotowaniu, odczytaniu młodych ludzi, pracujących w różnych zawodach.

Młodzież do lat trzydziestu! Jakże te czasy się zmieniły. W epoce Balzaka kobieta trzydziestoletnia była prawie staruszką. Asnyk, pisząc wiersz „Gdybym był młodszy dziesięcino” miał lat 28... Dziś wielu artystów „dobrze się zapowiada” aż po czterdziestkę. Ale nie o tych mi chodzi. Wiek człowieka przedłużał się, a więc przedłużała się młodość tak bardzo, że trudno czasem uwierzyć. Na co dzień przecież nie zdajemy sobie z tego sprawy. Myślę, że przyczyna tkwi nie tylko w fizycznej młodości, ale także w młodzienczości — psychicznej sprawności, określonym stosunku do spraw i życia.

W teleturnieju wystąpiły również dwie autorki popularnych książek, które należały do lektury obowiązkowej dla uczestników teleturnieju: dr Lobodzińska i dr Jarecka. Pracownice nauki, które mają już za sobą poważny dorobek i osiągnięcia naukowe. Wiek obu pań z wyglądu, a sądzę że nie tylko z wyglądu, niewiele przekraczał wiek uczestników teleturnieju. Po prostu, niewidoczna dla oka różnica kilku lat.

Krótkometrażowy film „Obieżyświat” pokazał nam Wojciecha Dworczyka, który ma za sobą 18 lat trampowskiej wędrowki po pięciu kontynentach, wędrowki „bezgotówkowej” to znaczy takiej, podczas której Dworczyk zarabiał pracą fizyczną w każdym miejscu na pobyt tam i dalszy etap podróży. A o swoich przygodach niewiarygodnie ciekawych i niewiarygodnie nieraz ciężkich, których uwielbieniem jest m. in. jedna z najspanialszych kolekcji w kraju, opowiadał z młodzieńczą fascynacją, sam zresztą wyglądając na młodzieńca, który nie przekroczył trzydziestki.

Poniedziałkowy Teatr TV zainaugurował I Letni Przegląd Teatrów Telewizji, który w sezonie ogórkowym ma zaprezentować wznowienia najlepszych spektakli z okresu ostatnich paru lat. Na kanikułę to chyba koncepcja najlepsza z możliwych, bo zawsze to lepiej obejrzeć po raz drugi dobrą i dobrze zagraną sztukę, niż po raz pierwszy być co. „Mazepek” w koncertowym wykonaniu Śląskiej, Swiderskiego, Gogolewskiego, Kamasa i Holoubka, oglądać można nie dwa i nie trzy razy. Do imprezy tej wprowadzono ciekawą innowację w postaci spotkań z realizatorami przedstawienia. Tym razem był to „Gustaw Holoubek — reżyser i Jan Swiderski — odwrotna rola Wojewody. Jakże interesująca to była rozmowa, jak ciekawe wypowiedzi przedstawicieli dwóch pokoleń aktorów — starszego i średniego, wypowiedzi o roli reżysera w spektaklu teatralnym i telewizyjnym. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że traktowany przez nas powszechnie jako najbardziej masowy teatr w kraju — teatr TV uważany jest przez aktorów za scenę najbardziej kameralną, za teatr jednego widza. Były w tych krótkich wypowiedziach głębokie przemyślenia, był też świeży, młodzieńczy stosunek do sztuki, którą rozmówcy uprawiają.

Przesunęły się granice wieku, nasza młodzież jest dorosła, nasi dorośli zachowują młodzieńczość. To jest chyba owa tajemnica różnic i więzi pokoleń. Różnic wynikających ze znajomości świata i więzi wynikających z pasji wykonywanej pracy, trafnie obranego zawodu.

JOANNA SERGONT

Lando Buzzanca, jego siła ko- sana Podesta, której wdziękiom micznej partneruje z powodem- nie może się oprzeć biedny Don niem uroda, dawno u nas nie Salvatore. widziana, a zawsze śliczna Ros.

EWA NURCZYŃSKA



O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskreje

PIESŃ MIŁOSNA SPRZED PIĘCIU TYSIĘCY LAT

Profesor S. N. Kramer, Amerykanin rosyjskiego pochodzenia pasjonuje się starożytną cywilizacją sumeryjską. Przez wiele lat zajmował się badaniami nad tekstami tabliczek z pismem klinowym, od czasu do czasu ogłaszając, nieraz rewelacyjne, wyniki swych badań. Zapoznawszy się z zbiorami takich tabliczek w muzeach całego świata, profesor napisał kilka prac popularnych o tej ciekawej cywilizacji starożytnej, jaka istniała niegdyś w dorzeczu Tygrysu i Eufratu.

tysiąca lat przed n. e. Nie wiadomo skąd przybyli. Wiemy, że nazywali siebie, choć nie wiemy dlaczego, czarnogłowymi. Zmieszali się następnie z ludami pierwotnie zamieszkującymi ten kraj, w przeważnej części semickimi i wytworzyli cywilizację, która stopniem rozwoju nie ustępowała w niczym współczesnej im cywilizacji starożytnego Egiptu. Sumerowie wynaleźli pismo klinowe, znaki ryte w kamieniu, a najczęściej wyciskane na cegielkach mokrej jeszcze gliny. Cegielkę taką następnie suszono na słońcu.

Wiele ludów starożytnego Bliskiego Wschodu, jak

ale w wersji przetworzonej przez Babilończyków, podczas gdy niedawno odnaleziono fragmenty tych utworów w wersji i języku oryginału to jest w sumeryjskim.

Ponadto pięć tysięcy tabliczek w języku sumeryjskim daje nam przegląd bogatej literatury. Znajdujemy tu całą różnorodność gatunków literackich jak mity, zbiory przysłów i aforyzmów, hymny, pieśni miłosne, pouczenia dydaktyczne lub rady praktyczne różnego rodzaju. Niektóre z tych tekstów są zdumiewająco „aktualne”. I tak np. dialog między ojcem i synem, pochodzący z IV tysiąclecia przed

mnie poprowadził do komnaty. Zdobyleś mnie, pozwól abym drżąca stała przed tobą. Małżonku, pozwól abym cię pieściła. Moja miłosa pieczęta jest słodsza niż miód. W komnacie pełnej miodu. Pozwól mi korzystać z twej wspaniałej piękności”.

I dalej po wyznaniach miłosnych i słowach zachwytu nad małżonkiem o biletu nagrody:

„Powiedz o tym mojej matce a ona ofiaruje ci smakołyki.

Powiedz mojemu ojcu, a oddarzy ci podarunkami”.

Czy wyrażenie „miłodowy miesiąc” nie jest może pochodzenia sumeryjskiego?

CÓ SIĘ STANIE Z DZIENNIKAMI PANI WAGNER?

Dla tych, którzy od trzydziestu lat czekają na opublikowanie pamiętników Cosimy Wagnerowej, żony Ryszarda Wagnera nadeszła z Monachium niepokojąca wiadomość. Oto tamtejszy adwokat Hermann Ecker ukrył 21 zeszytów z codziennymi notatkami żony wielkiego kompozytora.

Od trzydziestu już lat rada miejska miasta Bayreuth czeka na przejęcie tego spadku po Wagnerze. Miastu Bayreuth zapisała córka Wagnera, Ewa. W trzydzieści lat po śmierci Ewy, dokładnie w dniu 28 maja br. manuskrypty miały być przekazane przez wykonawcę testamentu, Hermanna Eckera w ręce przedstawicieli rady miejskiej. Ale kiedy delegacja rady udała się do Eckera ten zażądał honorarium w wysokości 52 tys. marek ponieważ, jak motywował, należy mu się ta suma prawnie od ogólnej wartości przechowywanych dzienników. Wartość zaś tych notatek określa on na około pięć milionów marek. Delegacja odmówiła wypłacenia tej sumy, powołując się na orzeczenia sądowe, określające wartość dzienników jedynie na 50 tysięcy marek.

W trzy dni później Ecker udał się do monachijskiego banku, gdzie przechowywane są dzienniki, wyjął je ze skrytki bankowej wraz z pakietkiem o nieznannej zawartości i złożył to wszystko w skrytce innego, nie wiadomo jakiego, banku. Rada miejska miasta Bayreuth skierowała skargę do sądu. Adwokat Ecker ujawnił się jednak panem położenia i twierdzi, że manuskrypty Cosimy Wagnerowej wyda jedynie wtedy kiedy otrzyma żądany przez niego sumę pieniędzy.

NOWA KSIĄŻKA SAGANKI

Francoise Sagan (właściwe nazwisko: Francoise Quoirez) debiutowała swoją powieścią „Witaj smutku” w roku 1954 gdy miała lat osiemnaście. Od tego czasu napisała kilka innych poezyjnych powieści. Okazała się też zręcznym dramaturgiem. Krytyka podkreślała jej niezwykły talent kompozycji, mistrzowski styl, dar obserwacji psychologicznej, lecz równocześnie wytykała jej dziełom blańską treść.



Samochód Saganki
po wypadku.

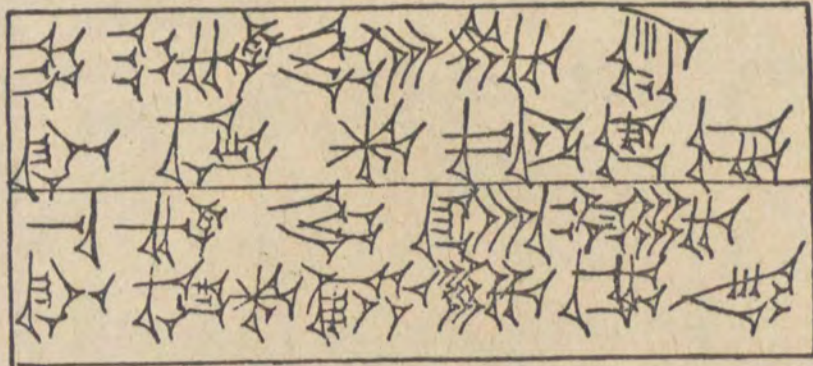
Ostatnią książką Saranki pt. „Des bleus a l'ame” różni się od jej dotychczasowych powieści. Pisana w pierwszej osobie, zawiera sporo rozmyślań, które zdaniem recenzentów dotyczą samej autorki i jej życia. A życie miała Francoise Sagan burzliwe. Kilkakrotnie wychodziła za mąż i rozwodziła się, odwiedzała nocne lokale gdzie upijała się, na sku-

tek zbyt szybkiej jazdy Para ta znana jest z najlepszej sztuki Sagan pt. „Zamek w Szwecji”. Tam jednak siostra i brat byli



FRANCOISE SAGAN

nie, usiłowała popełnić samobójstwo. Refleksje Saganki nad swym życiem przewijają się w akcji, której bohaterami jest para rodzeństwa, bogaci, w tej ostatniej powieści są zrujnowani finansowo i radzą sobie w ten sposób, że on znajduje bogatą przyjaciółkę, ona zaś zamożnego przyjaciela.



Sumeryjskie pismo klinowe

Z okazji swego pobytu w Genewie profesor wygłosił kilka odczytów na temat cywilizacji sumeryjskiej. Donosząc o tym „Samedi Littéraire” kulturowy dodatek szwajcarskiego dziennika „Journal de Genève” przynosi artykuł z naznaczką cytelników pokrótce z dziejami cywilizacji starożytnych Sumerów. Cywilizacja ta nie istnieje już od kilku tysięcy lat, ale jej wpływ zaznacza się jeszcze do dziś, zwłaszcza w krajach basenu Morza Śródziemnego, na które niegdyś tak intensywnie promieniowała. Nawet u nas liczenie na tuziny jest pochodzenia sumeryjskiego, gdzie stosowano system nie dziesiętny lecz dwunastkowy. Sumerowie pojawiają się w dorzeczu Tygrysu i Eufratu w południowej Mezopotamii trzy i pół

Babilończycy czy Asyryjczycy, przyjęło następnie to pismo Sumerów i dostosowało je do swoich własnych języków.

Gliniane tabliczki sumeryjskie, po wyschnięciu stawały się tak trwałe, że nie niszczyły ich ani woda, ani ogień. Toteż dochowały się do naszych czasów nieraz w stanie idealnym.

Wśród wielu tego rodzaju dokumentów, dotyczących spraw administracyjnych, prawnych, gospodarczych, znaleziono teksty literackie, a więc opowiadania kosmogoniczne, w których występują bogowie oraz epopeje o legendarnym bohaterze i jego przygodach, który przypomina Heraklesa z mitologii greckiej. Zarówno opowiadania jak i epopeja o Gilgameszu znane były uczonej,

n. e. odzwierciedla trudności wychowawcze jakie nieobce są rodzicom i naszym czasom. Oto ojciec robi gorzkie wymówki synowi, że zamiast się uczyć waleś się beczynie i marnotrawi czas na próżniactwo. Stawia synowi za przykład jego rówieśników, którzy nie tylko się uczą, ale jeszcze pomagają w pracy swym rodzicom.

Inne tabliczki zawierają np. wyznania miłosne młodej małżonki. Oto fragmenty tego rodzaju utworu poetyckiego, hymnu miłosnego sprzed kilku tysięcy lat:

„Małżonku drogi memu sercu!
Wielka jest twoja piękność,
stodką jak miód.
Zdobyleś mnie. Pozwól, abym drżąca stała przed tobą.
Małżonku, chciałabym aasj



ZNACHOR

I PODKOWA

ZA CO PONOSZĘ ODPOWIEDZIALNOŚĆ? ▲ KURACJA Z POKRZYW ▲ CO TO SĄ FITOCYDY? ▲ PAJĘCZYNA I ANTYBIOTYK ▲ DWA SYSTEMY LECZNICTWA ▲ ZAMKNAĆ ZNACHORÓW!

„Prawo i Życie” zabrało się ostatnio za zjawisko zwane znachoryzmem. Czytam więc tam, że zbyt mało i zbyt łagodnie karze się znachorów oraz że za szerzenie zjawiska znachoryzmu ponoszą odpowiedzialność i lekarze i nauczyciele i dziennikarze. Ponieważ nie lubię odpowiadać za coś czego nie czynię, postanowiłem najniejszym poszerzyć zjawisko znachoryzmu. Ze-

bym już wiedział za co ja jestem bity. Moim zdaniem mamy w Polsce szereg innych poważnych zjawisk, którymi warto się zająć — znachoryzm uważam za stosunkowo mało groźny. A poza tym jestem przeciwnikiem wylewania dziecka razem z kąpielą — bardziej nawet niż przeciwnikiem znachoryzmu. Uczony autor publikacji w „Prawie i Życiu” tak się

w ataku na znachorów zacietrzewił, że niechący poturbował trochę ziołolecznictwo.

Kpi więc z „kuracji pokrzywowej” zapominając, że działa ona i to nieraz bardzo skutecznie od dobrych paru wieków, że pokrzywa bogata w witaminy dawniej była szeroko stosowana w lecznictwie. Kpi z „cudownych właściwości” chrzanu zapominając, że ta niepozorna roślina posiada duże wartości kaloryczne i witaminowe, a poza tym zawiera silne fitocydy. Co to są fitocydy? Otóż są to substancje o działaniu bakteriobójczym, grzybobójczym i pierwotniakobójczym.

Jeśli wszechpotężna, mądra, współczesna medycyna nie potrafiła do dziś dać jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o istotę raka — czemu mamy kpić ze znachorów stosujących fitocydy zawarte w chrzanie?

Badania nad fitocydami zaczęto w roku 1928 w Moskwie — zapoczątkował je uczonej radziecki Borys Tokin. Wcale bym się nie zdziwił, jeśli okazał się za jakiś czas, że powtórzyła się historia pajęczyny ugniecionej z chlebem przykładanym do ran w wieku siedemnastym. Kiedy w połowie tego wieku wynaleziono penicylinę ludziom zaczęli opady ze zdumienia, że ten barbarzyński zwyczaj wcale nie był taki głupi. W ten barbarzyński sposób tworzyła się pleśń, z której po paru wiekach Fleming wypracował antybiotyk.

Autor publikacji w „Prawie i Życiu” wybrał sobie niecelne przykłady — nie więc dziwnego, że spotkała go przykreść, której sobie może nie uświadamia. Otóż czytelnicy wynotowali przykłady wykopione przez Autora — nie bacząc na grzmiący i ironiczny komentarz.

Wiem, że można to skwitować epitetem koltuństwo i głupota. Być może jest to koltuństwo, ale kpina ze starych recept ludowej medycyny też nie jest szczytem rozważli. W krajach o cywilizacji i medycynie daleko starszej niż nasza istnieją dwa równorzędne systemy lecznictwa — tradycyjny i współczesny. Dziś już nikt nie kpi z akupunktury, choć też był czas kiedy nakłuwanie szpilkami uważano za barbarzyński przeżytek. Dziś akupunkturę stosuje także medycyna nowoczesna.

Stawiam pytania i wykładam wątpliwości, bo zaniepokoiła mnie konkluzja artykułu w „Prawie i Życiu”. Przeczytałem tam bowiem, że „czołowa rola w eliminacji znachoryzmu przypada organom wymiaru sprawiedliwości”. No cóż można i tak — ale przecież zamykając do pudła wszystkich znachor-

ów nie zamknie się problemu. Jest on zbyt złożony, zbyt delikatny. Współczesna medycyna natomiast jest zbyt pewna siebie, zbyt zadufana i jednocześnie — jakże często — bezradna.

W tej sytuacji potępienie starych recept do niczego nie prowadzi. Nie zmienia tej sytuacji. Tak jak w anegdotce: Dziennikarz rozmawia z uczonym — racjonalistą na temat — racjonalistą na temat zabobonów. W pewnej chwili spostrzeżenie przybitą na progu podkowę. „Czy pan wierzy, że podkowa przynosi szczęście?” — pyta zdumiony. „Nie, oczywiście nie wierzę” — mówi uczonej. „Więc po co pan tę podkowę umieścił przy wejściu do własnego mieszkania?” — indaguje dziennikarz. „Bo widzi pan — ona przynosi szczęście bez względu na to czy ktoś w to wierzy czy nie”.

JERZY WIDOK

Spotkanie na autostradzie

Zwykle autostopowicze nie interesują mnie, lecz tym razem zatrzymałem samochód, aby zabrać młodzieńca. Wzruszyła mnie jego blada twarz, schludne ubranie. Może przeżywał jakiś trudny moment w życiu. Poza tym lubię towarzystwo, a podróż do Detroit była daleka.

Zbliżył się do mojego wozu trzymając w ręce konopną torbę.

— Jadę do Detroit, czy cię interesuje? — zapytałem.

— Ależ tak, proszę pana! Niebo mi pana zsyła!

— No to wsiadaj, synku. — Spodobał mi się jego uśmiech wdzięczności. Pewnie czuł zimno, zauważyłem, że pod zniszczoną marynarką nie miał nawet golfu. Wyglądał na człowieka, który od dłuższego czasu nie odżywał się regularnie. Wszystko w nim wydawało mi się delikatne i słabe.

Gdy ofiarowałem mu papierosa, wziął go dziękując mi serdecznie. Rzekł: — Już tak dawno nie paliłem, a ten jest najlepszego gatunku!

— Czy jedziesz do Detroit na wakacje? — zapytałem.

— Nie. Szukam pracy.

— Rozumiem — odpowiedziałem uprzejmie. — Ja pracuję w kosmetykach. A ty jakiej pracy szukasz?

Wzruszył ramionami, a ja zauważyłem, że jego ramiona nie były takie wąskie, jak mi się wydawało początkowo. Po bliższym przyjrzeniu stwierdziłem, że był młodzieńcem silnej i zwinnej budowy, coś w rodzaju wagi piórkowej. Pod lewym okiem miał cieniutki rany.

— Przyjmę jakakolwiek pracę — odpowiedział na moje pytanie. — Urzędnika, magazyniera, sprzedawcy, gońca...

— Ale łatwiej ci przyjdzie znaleźć pracę, jeżeli najpierw zdecydujesz się na jedną z nich. Wiesz przecież, iż mamy teraz wielką specjalizację. Nie się nie odezwał.

Dodałem: — A w ostatnich czasach, co robiłeś?

— Spałem, czytałem, grałem w szachy, nie robiłem w ostatnich osiemnastu miesiącach.

— Nie wierzę w to! Co do diabła...

Zwrócił się nagle w moją stronę. Usta miał ściśnięte w wąską linię.

— Dziękuję panu za to, że pan mnie zabrał, ale proszę mi nie zadawać żadnych pytań.

Po chwili twarz mu się uspokoiła i dodał zmęczonym głosem:

— To było pierwszy raz... Ale panu mogę powiedzieć. To miasto, w którym pan mnie zabrał, czy pan wie z czego jest znane?

— Wiem. Staram się zawsze poznać wszechstronnie okolice, w której sprzedaję moje wyroby... Pan pewnie pracował w więzieniu państwowym?

— Dzisiaj wyszedłem z więzienia, gdzie siedziałem za kradzież — odpowiedział zimnym głosem.

Odwrocił głowę i wpatrywał się w mijany krajobraz.

Jestem typem człowieka dobrodusznego, mam sześćdziesiąt lat i myślę, że wiozę w aucie byłego więźnia, przyprowadzającego mnie o dreszcze. Nie mówię już o kilkunastu tysiącach dolarów, które wiozłem z sobą po utargu.

Spojrzał na mnie i wyczytał z twarzy moje myśli.

— Niech pan się nie boi — rzekł z goryczą. — Zapłaciłem mój dług wobec społeczeństwa... Teraz jestem czysty jak każdy inny obywatel. A może pan chce, żebym wysiadł?

Musiałem odpowiedzieć: — Ależ nie. Sam powiedziałeś, że jesteś teraz w porządku. — Lecz ta... słowa ledwo mi wyszły z gardła...

— Czy naprawdę pan tak myśli? Chcę się zachowywać jak należy! Odbylem moją straszną lekcję w więzieniu, ale gdy niepowodzenie zaczęło mnie prześladować?... Czy może mi pan znaleźć jaką pracę?

— Niestety, chwilowo nie potrzebujemy nowych urzędników, ale z tego powodu nie powinienieś patrzeć na życie negatywnie. Jeżeli zaczniesz dobrze szukać, na pewno znajdziesz pracę.

— Proszę pana, chcę, żeby mi pan wierzzył. Poznałem, co to jest więzienie, nie chcę tam już wrócić! Faktem jest jednak, że

w tej chwili mam w kieszeni tylko sześćdziesiąt dolarów. Oszczędzając, mogę za to żyć trzy tygodnie. A co będzie potem?

Westchnął i zamilkł.

— Proszę nie zwracać uwagi na to, co mówię — zaczął po chwili. — Zrobił mi pan łaskę zabierając mnie do Detroit. Proszę, niech się pan nie boi! Nie jestem już potworem, który jest gotów rzucić się na pana...

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Czekalem z chwili na chwilę, że poczuję, jak zrzęzne jego palce wsuną się do kieszeni mojej marynarki, aby wyciągnąć portfel... Potem inna myśl zaczęła mnie prześladować: a może ucieknie z więzienia? Przypomniałem sobie, że dyrekcja państwowego więzienia zaopatrywała tych, co wychodzili, w bilet kolejowy lub autobusowy. Dlaczego ten człowiek korzystał z autostopu?

Włączyłem radio i czekałem na wiadomości podawane co pół godziny. Lecz w najważniejszym momencie droga wypadła przez długi tunel i hałas zagłuszył lokalne wiadomości.

Przejeżdżaliśmy teraz przez dość duże miasto. Chciałem zatrzymać się, powiedziałem, że zmieniłem zamiar i nie pojedę już do Detroit, lecz wstydziłem się przyznać do paniki, która mnie ogarniała. Zdecydowałem się na jedno: nie pojedę dłużej, samotną autostradą, która prowadziła do Detroit. Wolałem przebywać miasta i wioski, chociaż zabierało mi to więcej czasu. Lecz chodziło mi o bezpieczeństwo.

W następnych wiadomościach radiowych nie nie mówiono o ucieczce więźnia. A może jeszcze nie zauważyli?

W pewnej chwili ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że tak źle myślę o tym młodzieńcu, który znalazł się wobec tylu trudności życiowych. Gdy przejeżdżaliśmy obok restauracji zapytałem go: — Czy chciałbyś zjeść śniadanie?

Widząc, że się waha, dodałem: — Na mój koszt, rozumie się!

Z godnością odpowiedział: — Dziękuję, chce mi się jeść diabliście.

Gdy zjadł solidne śniadanie zapytałem: — Czy ktoś z rodziny oczekuje ciebie w Detroit?

— Nie wiem. Od sześciu miesięcy nie mam wiadomości od mojej żony.

O nic więcej nie pytałem. Udałmy się w dalszą drogę.

Mówiąc szczerze byłem zły, że tracę tyle czasu z powodu ominięcia autostrady. Jednak uważałem, żeby nie przyspieszać biegu. Zawsze jeżdżę ostrożnie. Dlatego jestem przekonany, że gdy przejeżdżaliśmy tę wioskę, składającą się z kilku domów i jednego sklepiku, nie jechałem szybciej niż dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, co jest limitem prędkości dozwolonym w zamieszkałej okolicy.

A jednak jakaś maszyna policyjna przywitała mnie przeciągłym klaksonem dając znak, żebym się zatrzymał.

Z wozu wysiadł gruby policjant w niebieskim, operetkowym mundurze i wyjął bloczek z torby. Według jego zdania, jechałem pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wysiadłem i ja nastawiony na gorącą dyskusję, wysiadł także mój pasażer, który stanął z boku, niedaleko policjanta.

Powiedziałem policjantowi, że w ciągu mojej długiej praktyki kierowcy zawsze wykazywałem szacunek dla przepisów ruchu drogowego. Dowodem jest fakt, że w zeszłym roku zostałem nagrodzony przez komisję państwową za to, że nigdy nie byłem skazany na karę pienięż-

ny — Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.

— Dwadzieścia pięć dolarów?! Ależ to złodziejstwo! Ja panu pokażę! — krzyczałem, na próżno usiłując opanować wściekłość, podczas gdy on wkładał do kieszeni bloczek po oderwaniu kwitka przeznaczonego dla mnie.

— Jak pan uważa — odparł znużonym głosem. — Proszę jednak pamiętać, albo pan tu wróci, albo wyśle pieniądze... Bo w przeciwnym razie będą poważne nieprzyjemności!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Kipiłem ze złości. Zwrócony do mego pasażera rzekłem:

— Nie wtrącałem się do rozmowy — rzekł pasażer — aby nie komplikować sprawy. Proszę mi pokazać kwitek z kary.

Podaliśmy mu automatycznie pięć dolarów. Można też uregulować karę natychmiast.



Fot. A. Neumann

na w ciągu czterdziestu lat prowadzenia samochodu.

Agent odpowiedział, iż na dany przez niego sygnał, abym się zatrzymał, ja nie przystanę natychmiast.

Zawsze ta sama śpiewka. Prawdopodobnie najważniejszym dochodem tej wsi były kary pieniężne na przejeżdżające samochody. Sądząc po bogactwie operetkowych uniformów powoziło im się niezle.

Naturalnie, mogłem wsunąć policjantowi w łapę paperek dziesięciodolarowy, lecz nigdy tego nie czynię, to jest wbrew moim zasadom.

Mimo protestów i wyjaśnień,

— To hańba, wyszukiwać w ten sposób kierowców! Nie jechałem powyżej dwudziestu kilometrów i on wiedział o tym! I ty też wiesz! Nie zapłacę kary, nie ma mowy! Zał mi tylko tej premii, której nie otrzymałem w tym roku... Tak mi zależało, wiem, że zasługuję na nią. To nawet jest ważne ze względu na dobre imię naszej firmy.

Podczas gdy mówiłem zadawałem sobie pytanie: Po co ja mówię o tym wszystkim? Właściwie on zawinił! Gdyby nie trwoga przed tym łazęga, znajdowałbym się już w połowie drogi do Detroit!

oszust nie ma teraz żadnego bloczku w kieszeni.

Uśmiechając się melancholijnie, wyciągnął bloczek, który zabrał z tylnego kieszeni spodni grubego policjanta.

Twarz moja wyrażała tak wielkie zdumienie, że szybko dodał:

— Spalmy ją przy pierwszej okazji. Będzie to nauka dla tego typu. I proszę nie patrzeć na mnie w ten sposób! Chciałem odwdziżyć się panu...

Oprac. A. S.



Lewym okiem

DZIECIOM IGRAJĄCYM

Wielkie przedwojenne miasta, takie jak Warszawa i Łódź, zabudowane były domami najwyższej cztero- piętrowymi. Ludzie zamieszkiwali więc miasto najwyższej w czterech warstwach, czyli powierzchni ziemskiej nie była tak obciążona ludźmi jak przy dzisiejszych trzydziestu warstwach.

Tamte domy były co prawda budowane gęsto, o małych, studniowatych podwórkach. Na tych podwórkach grzebały się rachityczne i niemrawe dzieciaki, hałasować nie mogły, bo zaraz z któregoś piętra wychylała się wściekła twarz i rugała od huncwotów, a tu ludzie śpią, a tu chory, a tu migrena i skaranie boskie.

Co śmielsze gawrosze miały jednak do dyspozycji wielkie nie zabudowane place. Tam kopalo się szmacianki, gralo w zbijanego, w złodziei i kapusiów, a ryczeć można było dowoli. Moje i moich rówieśników gonitwy działy się nad samą Wisłą, jak zawalałem przy Tamce: Kazieek!! — to Kazik odzywał się gdzieś koło Karowej i świetnieśmy się rozumieli, a piekarzom i flisakom nasze pokrzykiwania nie przeszkadzały. Sami krzyczeli, i to jak!

Dzisiejsze bloki są ogromne, wyż demograficzny jeszcze się nie zestarzał, przeciwnie — zaczyna właśnie mieć dzieci. Dzieci mamy w blokach mnogo.

Są też pomiędzy blokami przestrzenie do hasania i to z huśtawkami, piaskownicami, zjeżdżalnicami. Aż by się chciało zdziwić, słowo daję! Takie wielkie światy do odkrywania! Gdzie tam do nich naszym niedzisiejszym śmietnikom i trzepakom podwózkowym — jedynym przyrządom gimnastycznym!

Przestrzenie między blokami są jednak obsiane trawą, rabatkami, krzaczkami, drzewkami. To bardzo śliczne. Psy mają się gdzie wyszumieć, psom nawet jeszcze lepiej powodzi się niż dzieciom. Zamiast dzieciennic — jeszcze lepiej byłoby zejść na psy. Wyż kynograficzny znacznie zresztą przewyższył przyrost naturalny ludzi, co mieszkankie — to dziecko i dwa psy. Psom wolno wszystko.

Dzieciom nie wolno wbiec na trawnik nawet za uciekającą piłką. Kiedyś grałem w dwa ognie na placu budowy i nasza piłka trzasnęła przypadkiem paruletniego brzdąca. Matka tego brzdąca zabrała nam piłkę, przeprowadziła szereg wrzaskliwych pyśkówek — że nie liczymy się z dziećmi, że zabijamy dzieci.

Bo jej dziecko było dzieckiem, a my nie. Byliśmy o dwa lata starsi, a ona nie miała ochoty odejść trochę dalej.

Ludzie starsi, zasobni w psy a bezdzietni, kochają rabatki, nienawidzą brzdąca. Jest pomiędzy rabatkami plac zabaw. W stronę tego placu coraz to z któregoś okna leci wiązanka gromkich słów: przestańże się drzeć, durniu jeden! Zamknij się łobuzie! Zebym cię zatkało, smarkaczu! Uspokójcie się, bo pójdę po milicję!

Na każdym zebraniu lokatorskim wciąż te same safandulowane typy użalają się na wybijanie szyb i pęknięcie bębenków w uszach. Konkretnie nie wybito ani jednej szyby od roku, ale strach przed wybijaniem ekscytuje, napawa przerażeniem. No to co mają robić dzieciaki — opowiadać sobie na ucho kawaty? Te place są przecież dla nich! Nareszcie są!

A najgorsze psiakrewo, że z co drugiego okna ryczy radio i telewizor. I dopiero to jest nie do zniesienia! O tym na zebraniach mówi się — malutko lub ucale, jakoś wstyd, jesteśmy między swoimi, dorosłymi. Mówiłem już nie raz: nienawidzę hałasu. Ale dzieci powinny się bawić, to jest ich społeczny, obywatelski obowiązek, proszę lokatorów! Bez tego wyrosną z nich szczerkowate wymoczki, „batuckie limfatyczne dzieci” z nad Łódki i Jasienia. Nie przesadzajcie z wybijaniem szyb, to bywa bardzo rzadko, ani z przepędzaniem dzieciaków z kąta w kąt, ani zapędzaniem ich do kąta na partyjkę oczka z cymbalgą. Berek lepszy. Niech się bawią w berka i w chowanego, niech nie tamszą w sobie nieustannie prostą radość życia. Kazieek! Szukaaaj!

CWIEK